ZYGMUNTOWSKIE CZASY.

ZYGMUNTOWSKIE CZASY

POWIEŚĆ Z ROKU 1572

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO

TOM III.

WARSZAWA,

Nakład i druk S. ORGELBRANDA Księgarza i Typografa

przy ulicy Miodowéj Nr. 496.

1846.

Pozwala się drukować pod warunkiem, aby po wydrukowaniu złożoną była w Komitecie Cenzury liczba egzemplarzy prawem naznaczona.

St. Petersburg 1845 *roku, Sierpnia* 25 *dnia*

IGNACY IWANOWSKI Cenzor.

LISMANIN.

N[illegible] ulicy S. Jakóbskiej, w [illegible] [illegible], zwanej pospolicie *[illegible]*, której drzwi żelaznemi okowy obciągnione, z obu stron po-[illegible] [illegible] [illegible] [illegible] tylko kilka [illegible]

II.

Na ulicy Ś. Jańskiéj, w kamienicy wielkiéj, zwanéj pospolicie *Brogiem*; któréj drzwi świéżemi okowy umocnione, z obu stron murem wystającym zakryte zawarte były; furtka otwiérała się nieustannie wpuszczając wewnątrz ludzi ze wszystkich stron miasta zbiegających, opończami i czapkami po większéj części tak zakrytych, że twarzy ich nie łatwo dostrzedz było można.

Inni zdawali się znowu jakby naumyślnie, odważnie lice swoje przechodzącym ukazywać. Stukali do furtki głośno, aby na siebie zwrócić oczy, gdy drudzy potajemnie przekradłszy się osłonieni do drzwiczek, pukali nieśmiało oglądając do koła. — Jedni szukali oczów ludzi, drudzy ich unikali. Młodsi szydersko spoglądając na lud, zwycięzko wchodzili do *Brogu*, starsi drzeli biorąc za klamkę.

Lud przepływający ulicę i sąsiedzi spoglądali na kamienicę okiem bojaźń, ciekawość i pewien wstręt objawiającém.

Szmer wychodzący z niéj, postacie ukazujące się w oknach, wszystko aż do surowego oblicza odźwiernego, który wyglądał ze drzwi, zastanawiało przechodzących.

Od rana począwszy zgromadzanie się ludu różnych klass, zwiększało do południa, po nim furtka zamknęła i śpiewy tylko lub głosy mówiących oznajmywały o licznym zbiorze wewnątrz. *Bróg* był zborem, piérwszym zborem reformowanych w Krakowie; lud co

do niego napływał, wszystek już odpadł od matki kościoła, lub pragnął nowéj nauki. W r. 1571, 26 Sierpnia kamienica ta kupiona i na protestancki dom modlitwy przeznaczoną została.

Lecz zwróćmy się nieco i cofnijmy ku przeszłości, aby lepiéj późniejsze wypadki wyrozumiéć.

Wiemy jak reforma weszła do Polski, piérwsi jéj apostołowie, byli to ludzie, ani nauką obałamuceni, ani nadużyciami znękani; ale po prostu chciwi nowości, zepsuci, więc zawsze nowych swobód pragnący, budujący swoje znaczenie i wielkość chwilową, na odszczepieństwie. Jest na nieszczęście w człowieku coś, co go pociąga ku złemu, fatalną ciekawością, niepokojem jakimś dręczącym. A gdy złe jeszcze zakazane, prześladowane, gdy niebezpieczeństwo grozi, tajemnica otacza, ludzie niebezpieczeństwem, zakazem, tajemnicą pociągani bywają silniéj, niż najszlachetniejszemi pobudki gdzieindziéj.— Smutna to — ale

prawdziwa. Reforma do Polski nie weszła przez uczonych, nie zaszczepiła się przez ludzi wielkich z ucisku głos zbolały podnoszących; apostołami jéj byli, młodzież powracająca do kraju z zagranic dumna nową nauką, oszuści, wywłoki mnichy, a po trochu malkontenci magnaci, którzy w sprawie religijnéj, szukali przewagi politycznéj dla siebie i familii swojéj. Stając na czele reformowanych, groźnie opierając się duchowieństwu katolickiemu, koalizując się przeciwko panującéj wierze, nabywało się łatwo znaczenia, jakiego inne i większe zasługi dać tak prędko nie mogły.

Ludzie tak roją o prawdzie, że często w namiętném jéj poszukiwaniu błądzi każde błędne światełko biorąc za nią.—Tak się stało z reformą; duma pierwszy do niéj bodziec, stworzyła ją; ciekawość niespokojna przyjęła. Właśnie w ciągu panowania Zygmunta Augusta rozszerzać się silnie po kraju poczęła nowa nauka, którą tak doskonale zwali praojcowie nasi *nowinkami*. Nowinki więc

wittemberskie i genewskie, zewsząd poczęły kraj zalewać; a nic im tamy położyć nie mogło. Duchowieństwo oporem swoim, z początku pociągało jeszcze ku niebezpieczeństwu; które mając pozór jego, nie było istotném.

Największém złem na ów czas stała się obojętność panującego, któren z kolei dawał ucho i serce duchowieństwu katolickiemu i reformowanym. Z jednéj kancellarij, z jednym podpisem i pieczęcią, wychodziły z kolei listy zepewniające prawa i swobody dawnéj wiary ojców i broniące a zasłaniające od wszelkiego wmięszania się duchownéj władzy nowowierców. Jednego dnia podpisywano zakazy opowiadania nowéj nauki i przywileje na zbory i domy modlitwy. Z tego wszystkiego i z całego postępowania słabego Augusta, widać, że tajemną miał do reformy skłonność. Szczęściem wszystko co go otaczało, nadto tchnęło katolicyzmem, aby się odważył wyraźnie objawić, co myślał. Ale przyjęte dedykacje i listy Konrada Gesnera, Henryka

Bullingera i Kalwina, odpowiedź królewska Internuncjuszowi Lippomanowi, wyjazd jego do zboru w Wilnie, dowodzą tajemnéj sympatij dla reformy. Wszystko zdaje się przekonywać że Radziwiłłowie, piérwsi w Litwie apostołowie reformy, wpoili także w króla to zamiłowanie nowinek.

Nadto zawsze wahający się aby miał zerwać z całą przeszłością, August objawiał tajemne swe myśli nieznacznemi łaski i protekcją ludzi, pomawianych o rozszerzanie niebezpiecznych zasad.

Jednym z piérwszych w Polszcze, najniebezpieczniejszych może apostołów reformy i zapewne nie bez wpływu na Zygmunta Augusta, do którego osoby łatwy miał przystęp; był człowiek zepsuty, chciwy swobody, namiętny a chytry, na dworze Bony wyuczony sztuki skrywania swych myśli, Włoch, mnich franciszkan Franciszek Lismanin. W początku sprawiał on obowiązek spowiednika, przy królowéj matce, a spowiedź téj kobiéty, któréj

ręki syn lękał się dotknąć, aby w pocałunku trucizny mu nie dała; — była może dla człowieka niepewnego charakteru, piérwszym szczeblem do niewiary. Lismanin wyuczył się przewrotności przy niéj; mnisza suknia ciężyła mu, życie klasztorne go dusiło, nie mając ducha swego stanu, męczył się położeniem swojém. Jemu potrzeba było znaczenia, bogactw, swobody, nie pokornéj missij pocieszyciela, nie zaparcia się ciała i przyszłości doczesnéj. — Lismanin potajemnie z początku na księgach wyszłych w Wittemberdze, Lipsku i Bazylei, uczył się zasad nowéj nauki, nauki dumy, którą zwano nauką rozumu. Pochwytawszy zasady, zresztą łatwe do pojęcia, bo na jedném gruntujące się przeczeniu, rozpoczął nawracanie. Wielu ciekawych, wielu chciwych nauki, wielu płochych i niespokojnych, przybiegli ku niemu w nadziei dowiedzenia, co to jest przecie ta nowość, która światem wstrząsać poczynała.—Między uczęszczającemi do Lismanina na konferencje jego,

liczą nawet ludzi, których skąd inąd posądzać o to trudno; mianowicie jednego kanonika krakowskiego Drzewickiego, Jakóba Uchańskiego kanonika także, potém referendarza i arcybiskupa prymasa, także Andrzeja Zebrzydowskiego, póżniéj biskupa krakowskiego.— Bywał tam téż Jan Trzecieski, Bernard Wojewódka mieszczanin i drukarz krakowski (Erazma Rotterdama uczeń). Jakób Przyłuski, Andrzéj Frycz, Modrzewski i inni. Zbiérano się już w Krakowie, już w niedalekiéj wiosce Aleksandrowiczach; a Samuel Maciejowski ówczesny biskup krakowski, spostrzegłszy to, wszelkiemi sposoby starał się rozszérzaniu nauki zgubnéj zapobiedz. Lismanin wszakże mający opiekę w królowéj matce i królu młodym, którego ciekawość naukową i skłonność do nowinek podsycał; w początku nie wiele się lękał zamachów biskupa. Reforma co dzień w Polscze liczniejsza, silniejsza, co dzień się stawała do ujęcia w kluby trudniejszą. Co w początkach na kilka osób, to teraz

na tysiące wymierzać trzeba było, a takie prześladowanie, znęcanie się, i ciężkie i niebezpieczne. Smutno pomyśléć, że liczba obłąkanych, zawsze prawie wymawia obłąkanie.

Maciejowski napróżno jednak chciał zręcznego Lismanina złapać, napróżno ostrzegał królowę i młodego króla, o myślach tego człowieka. Dla potępienia niebezpiecznego apostaty, potrzeba było cokolwiek schwycić, książkę, pismo, a tego Włoch nie dozwolił.— Kilka razy powiadają, biskup wchodził do biblioteki Lismanina pod pozorem dawnéj znajomości i stosunków (bo głoszono nawet że biskupstwo krakowskie, za wstawieniem się franciszkana do Bony otrzymał), zabawiał się z nim poufale (Lismanin lubił niezmiernie grać w piłkę), ale schwytać Włocha na słówku, na pismie, na najmniejszéj oznace odszczepieństwa, nie było można. Skrycie reformator, pozornie był katolikiem; a choć wszyscy wiedzieli o konferencjach w Aleksandrowiczach,

nikt złapać tam ich z P. Karnińskim i innemi spólnikami nie mógł.

Tym czasem Lismanin, wybiérać się począł do Włoch, wysłany przez Bonę dla powinszowania wstąpienia na stolicę apostolską Pawłowi III, a wieść niosła, że Maciejowski obawiający się powrotu Lismanina, papieżowi go wskazał, jako niebezpiecznego człowieka. Lismanin zawsze szczęśliwy dowiedziawszy się o tém podobno od Stanisława Karnkowskiego, podróżującego po Włoszech, nie dał się złapać.

Aż i Franciszek Stankar przybył do Polski, wezwany dla nauki języka hebrajskiego w akademij krakowskiéj, przez samego Maciejowskiego, nic o jego sposobie myślenia niewiedzącego na nieszczęście.

Położenie Lismanina, coraz krytyczniejsze, stawiąc go jako mnicha pod władzą bezpośrednią duchowieństwa; z drugiéj strony uzyskana już przez nowowierców bezkarność;— natchnęły wreszcie myślą zrzucenia maszkary

i pokazania jawnie kim był. Nie czekając więc dłużéj, Franciszek Lismanin, do zguby za sobą wciągając kilku jeszcze słabych towarzyszów zakonników, zrzucił suknię mniszą i przyłączył do wyznawców nowéj wiary.

Miasto zerwania z nim wszelkich stosunków, Zygmunt August nie przestał wywłokę okrywać swoją opieką; owszem zdaje się nawet że Lismanin począł na ów czas serjo myśléc o nawróceniu króla i że nie inszy był cel podróży jego późniejszéj, jak przywiezienie ksiąg, ku temu posługiwać mających. — Tajemnie król rozkazał mu przygotowywać się do drogi, dostarczył na nią pieniędzy, polecił znaczne kupno ksiąg za granicą i szczególnie do Szwajcarij go skierował. — Wyprawiony mnich haniebnie zawiódł zaufanie Augusta, i czy to obawiając się skutków dalszych swego odstępstwa, czy nie ufając królowi, aby się miał otwarcie nawrócić, pomimo namowy i przekonywania niejakiego Budrzyńskiego, z nim

jako dworzanina jadącego, z pieniędzmi na księgi danemi, pozostał w Genewie.

Ale z wyjazdem promotora reformy, nie odjechała zasiana przez niego nauka, uczniowie jego rozsiewali ją po kraju, przybywali nowi, którym bezpieczna Polska smakowała. W początkach tulące się po wsiach nie daleko Krakowa zbory i domy modlitwy, powoli do stolicy wciskać poczęły. — Na Krzemionkach, potém w Woli Decjuszowskiéj, blizkiéj miasta, w Chełmie u Chełmskiego chorążego krakowskiego, zbierali się nowowiercy; a predykowali tam Sarnicki, Wiśniowski, Pauli i Przasnyski. Ośmieleni bezkarnością Justus Decius (syn Ludwika) dworzanin królewski i Bonar kasztelan biecki, sprobowali w saméj stolicy, urządzić domy modlitwy.

Przyłączyli się do reformowanych nowo, anti-trinitarjusze i nauka ich szkodliwszą jeszcze wszystkim się wydając, wzbudzając wstręt powszechny, rzuciła naprzód cień na

całe zbory. — Coraz się później urządzając i asystencją swą legalizując, reformowani ośmielili się szkoły w samym Krakowie otworzyć. Nabyto ogród za smętarz oddzielny służyć mający za bramą Mikołajską, którego kupno August zawsze łatwy dla wszystkich, potwierdził przywilejem 1569. Naostatek dom murowany wielki na ulicy Ś. Jańskiéj, zwany *Bróg*, o którym wyżéj wspomnieliśmy, kupiony i prawie otwarcie nabożeństwo doń wprowadzone w r. 1571.

Z kilku przywiedzionych faktów, łatwo miarkować, jak tu codziennie podrastała reforma; nie walką otwartą idąc, ale skrytém podziemném działaniem nieustanném. — Życie Franciszka Lismanina, jest normą obcych apostołów w Polscze nawracających—krajowcy szczérsi w swém obłąkaniu, więcéj litość, niż pogardę wzbudzają. Później dopiero widząc ich wiążących się z obcemi i pukających o pomoc we wrota nieprzyjaciół, przekony-

wamy się, że przestali rzucając wiarę narodową, być synami swojego kraju.

Lecz wróćmy do kamienicy naszéj.

Był to dzień ósmy Grudnia, w którym katolicki kościół święto Niepokalanego Poczęcia Matki Bożéj obchodzi. Protestanci dnia tego, nie dla święta, które odrzucali, ale widocznie z innego jakiegoś powodu zbiérali się tak licznie do Brogu, ponieważ zwykle widywano ich tylko w niedzielę uczęszczających do nowego zboru, zadziwiał się lud temu, nie mogąc pojąć, dla czego w święto katolickie, protestanci schodzą się na swoje kazanie. Pomimo że w liczbie nawróconych było wielu panów, wielu bogatych mieszczan i ludzi do dnia wartości nie przywięzujących, więcéj jednak daleko zwłaszcza niemieckiego pochodzenia rzemieślników i takich, którzy pracując na utrzymanie codzienne, niedzielę tylko mieli swobodną.

Kilku żaków śpieszących do kościoła na

nabożeństwo, zatrzymali się słysząc śpiew we Zborze.

— Słyszysz—Pawełku? rzekł Janek, co to ryczy?

— Heretycy po swojemu P. Boga chwalą.

· Co to? i u nich święto?

— Kat ich wié — a musi ich tam być dosyć, bo aż na ulicy psalmodją słychać.

Podnieśli oba oczy do góry, chwilę stali i kiwali głowami do siebie, dziwując się.

— Daléj, daléj, rzekł Pawełek, w miejscu kogutka na dachu, dzwoneczek przyczepią, potém dzwonek, potém dzwon, potém dzwonisko i będą się w głos o białym dniu na modlitwę wołać.— Patrzaj co za zuchwalstwo!

Znajoma nam pani Marcinowa przekupka idąc z koszykiem podle, zatrzymała się także.

— Patrzaj ich! toć to już się nie kryją nawet.

— Czego się mają kryć, dorzucił przechodzący Czuryło. *Toho łycha* co dzień więcéj, co dzień śmielsze, a kiedy im ksiądz biskup

nic nie mówi, król nosa nie utrze, muszą bardzieć.

— Ależ mój dobrodzieju, zawołała Marcinowa, im to może wszystko jedno, ale nam, nam cośmy do naszego Pana Boga przywykli, strach w jedném mieście z niémi mieszkać!

— *Skaczy wraże, jak pan każe*, odparł ponuro pan Czuryło.

— Ale to Pan Bóg ukarać musi—a karając ich, tych nieprzyjaciół ś. Trójcy i nam się gotowo dostać.

— Nie bójcie się moja Jejmość, rzekł szlachcic, gdzie jest dziesięciu sprawiedliwych, tam stu złym dla nich Bóg przebacza.

— Prawda i to.

— Ale czego to oni się dziś zeszli? czy i u nich święto?

— Gdzie zaś! Musiał jakiś predykant z za granicy przybyć z nowém bałamuctwem.

— Najpewniéj — dodał wyglądający przez okno mieszczanin, bo od rana ruch był nie zwykły, powiem państwu, że człowiekowi

zimno się robi myśleć, co tam za horrenda i pudenda w tym domu.— Kiedyś to się zapadnie. — Ja tu już mieszkać nie chcę, abym tylko dom sprzedał, w drugi koniec miasta się wyniosę.

Takie były rozmowy, uwagi, postrzeżenia i strachy większości ludu; a to nie tylko w Krakowie ale wszędzie.

Wejdźmy do środka.

Z ciemnego przejścia, schody wiodły na górę; tam wielka sala, któréj okna wychodziły na ulicę, służyła za miejsce modlitwy. W jednym jéj końcu znajdował się stół suknem pokryty, na nim krucyfiks i dwie świéce, ozdób i obrazów żadnych, ściany nagie, kilka na nich napisów z pisma świętego, na wielkich deskach czarnych wywieszonych, zawiérały główne teksta, któremi, źle je wyrozumiawszy, podpiérali się reformowani.

Sala ta pełna była ludzi różnego stanu płci obojéj, po większéj części stojących. Kilkanaście znakomitszych osób było na przo-

dzie, wydatnie, jakby przytomnością swą dowodzić chcieli, że wiara nowa, ma w wyższych klassach społeczeństwa opiekę i współczucie.

Stary, siwy, z krótko postrzyżonym włosem, wysokiego wzrostu, ogorzałéj twarzy, od któréj dziwnie białe odbijały włosy—czarno ubrany mężczyzna, mówił do zgromadzonych słuchających go w uroczystém milczeniu.— Teksta jakie na ów czas wybierali pospolicie predykanci, nie ściągały się jak teraz do nauki moralnéj, ale do dogmatów w kontrowersij będących. Dla tego zapewne i kążący pastor, objaśniał ludowi swoją komunję pod dwóma postaciami, dla tego mówił przeciwko bezżeństwu księży.

Łatwo miarkować, jakie w drugiéj części mowy, zachodziły argumenta. — Nienawiść katolicyzmu wywlekła tam wszystkie owe szkaradne powiastki, cały stos plugastw wpół zmyślonych, wpół przekręconych z prawdy, wyjątkiem tylko będącéj nie prawem.

Życie mnisze, zakonne; to życie tak święte i wielkie, zostało zaparte, zniweczone, oplwane; możność poskromienia namiętności — zaprzeczona.

Mówca z niepospolitym zapałem odzywał się, a rzecz jego z energją, z dziwną czasem w bezwstyd przechodzącą naiwnością rozwinięta, w języku pełnym barwy, przeplatana śmiésznościami, żarty, powiastkami; widocznie zajmowała i przekonywała słuchaczy.

Każąc zdawał się predykant walczyć, tak się gniéwał, srożył, tak namiętnie czynił sobie sam zarzuty i odpiérał je gorzkiemi szyderstwy; tak się wysilał na dowody przeciwko własnym zręcznie wrzuconym podaniom katolickim. Widać było ze wszystkiego, że mu najbardziéj chodziło o to, aby zmazać w nawróconych wszystkie ślady wiary odstąpionéj, aby okazać jéj mniemane fałsze i szkodliwe błędy.

Niekiedy gdy rzucał klątwy i szyderskie na katolicyzm zarzuty, twarz predykanta zmie-

niała się, czerwieniła, oczy występowały na wiérzch, ręce drgały konwulsyjnie, ciało dygotało, pierś dyszała, zęby się z pod warg zsiniałych ukazywały. Na ów czas nie był to *minister słowa Bożego*, jak ich na ów czas zwano, ale zajadły prześladowca; nie był to łagodny opowiadacz słodkiéj nauki, ale chciwy krwi i prześladowania człowiek. Drżał, rzucał się, biegał, padał, podnosił, wyciągał ręce, przewracał oczyma, pienił.

Znać było w nim, że niedawno jeszcze rozstawszy się z nauką którą usiłował współwyznawcom obrzydzić; chciał siebie także przekonać, chciał swoje także odstępstwo we własnych uniewinnić oczach, swoje sumienie drgające jeszcze zagłuszyć.

Rzadko wielki zapał, nie wzbudzi współczucia. Tak się i tu stało, pomimo przesady, gwałtowności, obrzydliwego znęcania nawet nad rzeczami, które wielu z przytomnych przywykli byli uważać za szanowne i prawie święte — mówca wszystkich żywo poruszył

i gdy poczynając psalm śpiewać sam, skończył kazanie; lud pozostał pod wrażeniem jego na długo.

Po odśpiewanych psalmach i pieśniach, po ukończoném nabożeństwie, ludzie zebrani rozchodzić się poczęli. Ale nie razem. Znaczniejsi pozostali jeszcze, inni obawiając się kupą wysypać na ulicę, umawiali, kto wprzód miał wynijść. Poczęto z cicha rozmawiać.

— Kto to jest? pytali mieszczanie, ten stary nowy predykant?

— Powiadają że przybył z daleka.

— A po polsku tak mówi, jakby się w Polscze wychował?

— Bo się w niéj wychować musiał. Teraz przybywa z Szwajcarij, ale o tém wara rozpowiadać obcym.

Staruszek który stał podle rozmawiających, szepnął im cicho.—

— Ja go znam.

— Któż to jest?

— Pst! cicho!

— I ja go znam — rzekł drugi, albo się bardzo mylę, albo to jest—

— Cicho — nie rozpowiadajcie jeśliście go poznali. Bóg wié! Mówią że ksiądz biskup i między nas rozsyła swoje szpiegi.

— O! to pewna, lepiéj milczeć.

— Chodźmy do domu — po drodze wam powiem, dodał staruszek, któren z ubrania na rzemieślnika wąglądał.

Gdy wyszli we trzech na wschody, obejrzawszy się bacznie, stary szepnął bliższemu, a wszyscy się dla słuchania go ponachylali.

— Wiecie, bywałem dawniéj za młodszych lat używany od królowéj matki, do malowania izb w zamku; widywałem tam wszystkich dwór składających, często między innemi —spowiednika. —

— Królowéj?

— Bony, Bony — franciszkana. Ten się późniéj na światło prawdziwe nawrócił i stał wielkim filarem kościoła Bożego; zwał się Lismanin.

— Miałżeby to być on?

— Niechybnie. — Zestarzał, alem go poznał. Zachwyciwszy coś pieniędzy królewskich na księgi, wyjechał do Helwetów i tam ożeniwszy osiadł. Król JMość powiadał słysze, że gdyby go miał kiedy w ręku —

— Ale to nie może być on. — Jakżeby śmiał?

— Otóż to i mnie dziwi. —

— Zmienił nazwisko, nazywają go słyszałem Burgerem.

— Może być, ale pewny jestem że to ten sam. — Budrzyński by to najlepiéj powiedzieć mógł, bo z nim razem jeździł i potém wrócił sam, ale go teraz w Krakowie nié ma.

— Śmiałość wielka!

— Bóg dodaje odwagi swoim posłańcom, dodał stary oddalając się — kto wié, może krwią przyszedł naukę nową zapieczętować. I gdyby go złapano!

— Schwytać go nie mogą.

Po tych słowach nowowiercy się rozeszli, inni wypływali powoli z sali i zwolna w ulicach nikli, tak że dom wkrótce był prawie pusty.

W sklepionéj nie wielkiéj izdebce, przytykającéj do domu modlitwy, siedział teraz predykant w szerokiém krześle, koło niego siedzieli, stali, znakomitsi nowowierce polscy: Ossoliński, Myszkowski, Filipowski, Lassocki, Stadnicki, Zborowscy i inni.

Z cicha rozpytywali oni pastora, o postęp reformy za granicą, o panujących, którzy w opiekę swą wiarę nową wzięli, o znakomitszych uczonych pismami ją rozszérzających.

Na wszystkie pytania tak zwany Burger odpowiadał żywo, z wielką przytomnością i zapałem, jeśli nie szczérym, to przynajmniéj doskonale udanym.

— Tak! tak! dodał, przyjdzie i nie daleki jest czas, gdy synowie fałszu padną przed światłością i przestaną kłaniać się bałwanom.

— Oto właśnie, rzekł Myszkowski, nowy wiary prawdziwéj wyznawca. To mówiąc wskazał wysokiego, poważnéj postawy, surowego oblicza mężczyznę.

Spójrzawszy nań, widziałeś do razu że spędził życie nie zamknięty między cztérema ścianami, nie w pokoju i miękkiém próżniactwie, ale w bojach z sobą, z światem, ręką i duszą, sercem i ciałem. Surową też miał i ponurą fizionomją. — Czarny wąs i broda krótko postrzyżona ocieniały z włosami wypełzłemi na wzniosłéj czaszcze gładkiéj jak skóra, twarz bladą, chudą, żółtą, dumnego wyrazu. Czarne oczy wielkie, pokryte powiekami, głęboko oprawne, zasłonione rzęsą długą spoglądały obojętnie i zimno. Usta ściśnięte, końcami lekko w dół pochylone, zmarszczkami już otoczone, we spół z czołem i policzki, namiętności stare i gwałtowne opowiadały. Znać było, że nie zwykł się tamować, nie umiał przymuszać, nie cierpiał podległości żadnéj, uporu swego pod niczyją

wolą nie złamał. Postawy ogromnéj, barczysty, rozrosły, szerokich ramion, silnie zbudowany, pomimo że się zbliżał do schyłku młodości, miał jeszcze pozór młodego, ufającego w swą siłę człowieka.

Był to książę Sołomerecki.

Wspomnieliśmy wyżéj, że książę młodość swoją spędził na zagranicznych dworach. Przebiegając Germanją właśnie w téj chwili, gdy reforma usiłowała czynić prozelitów, zachwycił był nieco nauki nowéj; nie porzucił wszakże wiary ojców, aż za powrotem do kraju, gdy w ślad za nim jeden z wysłańców niemieckich przybył na Ruś nawracać i wystawując księciu wielką rolę protektora reformy, zachęcał do walki, obiecując przewagę znakomitą, zapowiadając dni sławy i zwycięztwa.

Sołomerecki dał się nawrócić i zręcznemu pochlebcy dozwolił nieznacznie wziąść przewagę nad sobą. Wielkiéj na to potrzeba

było przebiegłości, aby człowieka charakteru niepodległego ujarzmić; ale wmawiając myśli, poddmuchując przekonania i rozkazy, przekonywając że to co się poddaje, sam piérwszy zamierzał—można najnieugiętszego owładnąć. Tak się i tu stało, książę Sołomerecki został ewangielikiem z własnéj niby woli, w istocie zaś za podszeptem zbiega którego przytulił, któren zdawał się czynić tylko wolą pana, a nie czynił jak swoją.

Imie książęcia dawniéj na Rusi wzięte, na dworze książąt Ostrogskich znajome i domowe, potrzebne było sprawie reformy, wciągając niejako w jéj przyszłość rodzinę Ostrogskich, która późniéj znacznie (w końcu XVI wieku), całkiem już za protestantami razem z Rusią grecką stanęła.

Książę przybyły do Krakowa, posłyszawszy o sławnym predykancie, ukazał się na kazaniu w Brogu. Tu go jak widzieliśmy przedstawiono kaznodziei, któren z żywém uczuciem

powstał i ściskając jego rękę, nizko schyliwszy się, wymówił:

— Wasza książęca mość możesz być wielkim kościoła filarem! Nasi bracia wszędzie jęczą w ucisku, tacy tylko ludzie jak wy, sprawie świętéj Chrystusowego kościoła, pomódz dziś mogą. Dusza moja raduje się waszemu nawróceniu, bo ono za sobą z szpon szatana wyrwać może tysiące.

Zimno dosyć, dość dumnie przyjął książę żarliwą przemowę.

— Bądźcie pewni, rzekł, że nie usunę się od braci w chwili niebezpieczeństwa, a błogosławić będę walce, bo w niéj przeczuwam zwycięztwo. W Litwie, w Rusi katolicyzm widocznie upada, wstrzęsły się jego podstawy, duchowni nawracają się, biskupi tajemnie sprzyjają naszéj nauce, król nie jest od niéj daleki. – Senat pełen współwyznawców; Litwa rzuca kościoły, a bieży do zborów, wywracają się bałwany i jutrzenka nowego dnia świta!

Jeszcze chwila, a Polska cała uzna słowo prawdy.—

— Amen! dorzucił uśmiechając się predykant. Niech się sprawdzą słowa wasze. I bodaj katolickie duchowieństwo nie obudziło się później, gdy dotąd tak wyśmienicie śpi nad przepaścią.

Predykant westchnął.—On wiedział o wprowadzeniu jezuitów przez Hozjusza do Polski i sam nie wierzył w przyszłość którą obiecywał.

—

BRATERSKA NIENAWIŚĆ.

III.

Gdy się to dzieje w zborze, dzwony kościołów zwiastując święto, biją na nabożeństwo wołając. — Wystroił się lud poczciwy, pobrały panie mieszczki czółka aksamitne ze złotemi galony, trzęsidłami i manele, łańcuchy i sobole szubki, powdziewali kupcy opończe podbijane futrem, przybrali się żacy w świąteczne odzienie. — Wszyscy śpieszą do kościołów

modlić się. Dzień to bowiem, jeden z dni poświęconych czci Marij, do któréj kierowały się modlitwy wszystkich, westchnienia wszystkie, jako do najpiérwszéj, najpotężniejszéj Orędowniczki.

Spójrzmy w kościół. — Tam organ brzmi, kadzidło płynie strugą niebieską, lud ławki i wszystkie miejsca zalega, ksiądz wyszedł przed ołtarz.

Za księdzem z zakrystij wychodzi siedmiu żaczków w białych niewinności sukienkach. Każdy z nich trzyma w ręku gałęź zieloną, utkaną świéczkami zapalonemi.—Organ ucichł, nastroił się do wtoru, a młodzi świéżemy głosy zanucili pieśń:

Jako róża między kolącym głogiem.

Między żaki śpiewającemi, ukląkł Maciek, a nucąc pieśń, łzy mu płyną po zbladłéj twarzy.—Bo przyszło mu na myśl wszystko co w życiu przecierpiał, co zniósł, bo jak cień stanęła mu przed oczyma jakaś postać mglista, którą nazywał matką i westchnął

do królowéj niebieskiéj, aby mu matkę powróciła.

Prawie w téj saméj chwili gdy dziecka westchnienie leciało ku niebu, kobiéta w czerni ubrana, wciskała się przez tłum zgromadzony, ku wielkiemu ołtarzowi. — Dwie towarzyszki niższéj klassy, dwie sługi, wiodły ją i ułatwiały przejście. Obie podżyłe niewiasty. Nieznajoma, która jak łatwo się domyślacie była księżną Sołomerecką, matką sieroty—żaka, blada jak zawsze, piękna jeszcze, padła nie daleko miejsca, gdzie siedmiu wybranych chłopiąt z gałęźmi, śpiewali pieśń o Bożéj Matce.

Nagle oczy jéj zapłonęły w modlitwie, padłszy na najbliższego. Oderwać ich nie mogła i silną ręką chwytając Agatę blizko stojącą, zawołała stłumionym, ale mocnym głosem.—

— To on! to on!

— To on! pani.—Ale na Boga nie wydajcie

się.—Dziś jeszcze mieć go będziecie, teraz, przy ludziach, w kościele—

— O! bądź spokojna.— Serce tylko matki zabiło na widok jego, poznało dziecię.—Teraz modlić się będę.

I zaczęła modlić się i płakać.

Maciek także skończywszy pieśń, gdy się odwracał, postrzegł kobiétę w czerni, oczy w nią utkwił, nie pojmując dla czego, uczuł pociechę jakąś w sercu i słodko zapatrywał się w twarz, co ją zda się znał kiedyś, a któréj nie mógł przypomnieć.

Tak przeszło nabożeństwo, gdy wszyscy rozchodzić się poczęli, kobiéta w czerni musiała nareszcie wyjść także z kościoła. Żacy dobrze wprzód udali się do drzwi i tam stanąwszy w swoich białych sukienkach, z gałęźmi w ręku, zbiérali jałmużnę.

Wychodząc księżna spotkała się z synem, który uśmiechając się łagodnie, rękę ku niéj wyciągnął i powtórzył słowa przez żaków używane.—

— Grosz dla żaczków!

Łzy napełniły oczy matki, wstrzymać się dłużéj nie mogła, rzuciła ku niemu i zakrzyczała w głos łkając.—

— Mój syn! mój syn!

Nikt nie pojmował co to znaczyć miało, lud się rozstąpił i ściskać począł natychmiast do koła. Wychodzący zatrzymali i zwrócili nazad.

— Co to jest? co to jest? pytano tłumnie.

— To twoja matka! zawołała Agata do sieroty. On rzucił gałąź i zawiesił się jéj na szyi.

— Matka! matka! królowa niebieska oddała mi matkę! A! modlitwa moja wysłuchana.

— Chodźmy, chodźmy! przerwała w uścisku księżna—ty ze mną. Już cię nigdy nie opuszczę! Będę dzielić twoje niebezpieczeństwa, nic nam nie uczyni zacięty nasz nieprzyjaciel!—

I rozstąpili się otaczający, wzajemnie wypytując tylko, a księżna unosząc syna jeszcze

w białém tém ubraniu obrzędowém, siadła z nim do czekającéj kolasy i w towarzystwie dwóch kobiét i kilku dworskich, udała się do mieszkania.

Nie będziemy opisywać, pierwszych chwil połączenia matki z dziecięciem, które dzięki listowi królewskiemu, uznane niejako, zapewnioną mając przyszłość, zasłonione opieką króla, lepszego na dal losu wyglądać mogło.

Tak przynajmniéj roiła matka; ale myliła się biédna. Książę, który sądził ją zginioną nie odbierając wieści, dowiedziawszy się o życiu, o bytności w Knyszynie, puścił natychmiast zajęte majętności, oddając je bez sprzeczki. — Ale czytając w liście tym imię syna odezwał się dziko.

— Jéj, nie jemu! To obca krew, nieprawe dziecię.—Zdusić je potrzeba dla sławy naszéj, dla zmycia szkaradnéj téj plamy.—Gdzież są dowody tego małżeństwa, gdzie metryki, gdzie świadkowie? A gdyby ci byli, dość wątpli-

wości jednéj, aby nas zhańbić. — To dziecię umrzéć musi.

I nie chciwość tylko powodowała księciem, ale to wysokie pojęcie godności swojéj familij, ta duma, która zawsze mu przewodniczyła, życie ludzkie mało ważąc, gdzie chodziło o sławę rodu.

Dumny że był ostatnią latoroślą swego szczepu, na któréj ważyła wielka i świetna w jego przekonaniu przeszłość, sądził się obowiązanym do opieki nad imieniem; mniemał powinnością swą odepchnąć tego, którego za nieprawego podrzutka uważał.

Kilkakroć zasadzał się na życie dziecka i nie taił się z tém wcale; wyszukiwał je ukryte, szpiegów wysyłał, płacił zdrajców; nic mu nie kosztowało rozkazać je zabić. — A gdy z podziwieniem rzucano pytanie— Jak ludzkie życie tak mało cenić można? z gorzkim uśmiechem odpowiadał—

— Niech to spadnie na moje sumienie,

niech krew ta na mojéj zawiśnie głowie, byle bym od podrzutka był wolny.

Jakoż zaraz po liście królewskim, zaniósł książę zwyczajem u nas powszechnym, manifest do akt, przeciwko dziecięciu, któremu imię książęce bez dowodów dawano. Potém udał się do Krakowa, poprzedzony przez wysłanych piérwéj ludzi, którym poleconém było, dziecko schwytać i wywieść na obcą ziemię, lub uczynić z niém, coby chcieli, byleby powrócić i wynalezioném być nie mogło.

Widzieliśmy jak starania te na niczém spełzły, jak matka przybyła do Krakowa, gdzie książę sam także się zjawił, oczekując obiecanego i zapowiadanego przybycia królewskiego, aby sprawę tę wyprowadzić na nowo.

Pan Czuryło dawny sługa domu książąt Sołomereckich, przybył nad wieczorem do księżnéj. Ona cała zajęta, po długich latach niepokoju i rozdziału, odzyskaném dziecięciem, rada by była odprawić niewczesnego gościa, ale przybyły nalegał pilnie, aby go wpuszczono.

Nie mogąc odmówić, księżna rozkazała wprowadzić starego szlachcica, który z miną przerażoną i przerażającą szybko się do niéj zbliżył.

— W. Ks. mość wiesz—zawołał—o przybyciu księcia do Krakowa.—

Sołomerecka pobladła i zmieszała się, wstała i zawołała.—

— On tutaj! tutaj! Piérwszy raz więc spotykamy się w życiu.—Tak blizko.—

— Książę od kilku dni bawi w Krakowie, dziś go widziano we zborze, o czém wiem od jednego z będących tam na kazaniu i nabożeństwie. On tu darmo nie przybył!

— Zapewne, odezwała się księżna. — Dobrze się stało, że tu razem jesteśmy. Potrzeba to skończyć.—Jutro będę u niego.

— Wy! Pani!

— Ja! rzekła dumnie powstając kobiéta—niech wiem co mnie czeka—czego chce odemnie.—Gdzie on mieszka?

— Nie wiem odparł zafrasowany Czuryło.

— Proszę was, dowiedźcie się.—Jutro, nie daléj jak jutro, muszę się z nim widzieć — koniecznie!

Te słowa wyrzekła głosem tak stanowczym, pełnym siły niezłomnéj; że szlachcic, który zabierał się odradzać, nie znalazł na to w ustach wyrazów.

— Idźcie i starajcie się dowiedzieć—dodała.

— Ale W. Ks. mość. —

— Nie usiłujcie napróżno zmienić mego postanowienia. Ja widzieć się z nim muszę.

— Rachujecie na siebie, że go przekonać, że żelazną jego wolę złamać potraficie?

— Na nic nie rachuję! Chcę go widzieć, chcę raz spójrzéć mu w oczy i spytać dla czego mnie prześladuje. — I ja mam także wolę mojego rodu, niezłamaną, żelazną. Kobiéta, cierpiałam i walczyłam jak mężczyzna.

Pan Czuryło po chwili rozmaitych, ale zawsze próżnych uwag, odszedł. Powlókł się dowiadywać o księciu i nie trudno znalazł

jego mieszkanie. — Sołomerecki nie miał powodu się ukrywać.

Wieczorem tegoż dnia, księżna wiedziała co chciała, a nazajutrz przed południem, ubrawszy się w żałobne swoje szaty wdowie, wieść się kazała sama jedna, do mieszkania brata.

Słudzy jéj wierni, lękając się o panią, wcześniéj zasadzili się pod rozmaitemi pozory, do koła domu i stali w blizkości zbrojni.

Na widok przybywającéj kobiéty, która z zasłonioną twarzą, domagała się, aby ją do księcia wpuszczono, dworzanin pobiegł oznajmić panu i wkrótce drzwi otwarto; a Sołomerecki stojąc oparty o stół, z wejrzeniem wzgardliwém i pełném dumy, przyjął przybywającą.

Przeszedłszy próg, księżna na widok tego człowieka, który jéj życie zatruł, uczuwszy mimowolne drzenie, potém własną bojaźnią przywiedziona do rozpaczy, odrzuciła zasłonę

z twarzy i długo wpatrując się w niego, zawołała.—

— Znasz mnie W. Ks. mość?

— Nie, odrzekł zimno książę.

— Widzisz tę twarz zbladłą, te marszczki na czole, te zgasłe oczy wypłakane.—

Książę poczynał się domyślać, ale milczał.

— Wyście to, dodała, zatruli mi życie.— Jestem siostra wasza, żona brata twojego.— Wiecie teraz kto jestem. Przyszłam was zapytać, czego chcecie odemnie? I rychło li mnie lub dziecię zabić każecie?

Brwi księcia zmarszczyły się dziko, usta zatrzęsły, spójrzał, pomyślał i odpowiedział tamując się.

— Rad jestem pani siostrze.—Śmierci waszéj nie pragnę, za bratowę nie uznaję was. Pytacie mnie o dziecko — niech i ono żyje, byleby imienia poczciwego ojców moich nie brało nieprawnie.—Wyrzeczcie się śmiesznych pretensij — a przysięgam, że dziecięcia prześladować nie będę.

— Wy to zowiecie śmiesznością! A! bodajbyś kiedykolwiek raz w życiu choćby pojąć mógł na sobie, jak boli gdy kto świętéj prawdzie przeczy. Dziecię to — przysięgam wam, dziecię brata twego!

— Przysięga nie dowód dla mnie — dajcie mi dowody—oczyśćcie dziecko z pozoru nieprawości, ja je uznam na ów czas.

Księżna stała zmięszana.

— Tak, dajcie mi dowody! Gdzie świadkowie mniemanego małżeństwa? gdzie dowody, że to dziecię brata mojego?

— Ja wam przysięgłam.—Innych dowodów teraz w ręku nié mam. Ale sądzę, że przysięga Sołomereckiéj, warta świstka papieru— król—

— Król, uśmiechając się przerwał książę, któż wié jakie mógł mieć powody uznania tego dziecięcia.

I szydersko wymówiwszy te słowa, odwrócił się dumnie.

Wdowa na chwilę spuściła oczy, potém zajadléj jeszcze - dodała.

— Podły zbójco—ty śmiał byś sądzić.—

— Obelgi kobiéty—mościa księżno, są dla mnie jak wiatr. Bić się z niémi nie będę. Ale jeśliście po to tylko tu przyszli, aby mnie lżyć—każę wam wskazać drzwi.

— Sama je znajdę, odpowiedziała Sołomerecka. Jeszcze słowo tylko mości książę. Wasza dostojność książęca, nić ma czém mitry swojéj wyzłocić, wy pragniecie mego majątku.

— Będę go miał księżno — po was, poczekam.—

— Ani po mnie! ani nigdy, zawołała wdowa z zapałem, ale ze zbójcą—

Sołomerecki żywo przerwał.

— Strzeżcie się, bym wam także nie odpowiedział podobném, a może gorszém słowem.

Wdowa zarumieniła się, ale nie cofając kończyła.—

— Ze zbójcą, który napada na drodze, targujem się o życie, Tatarowi dajemy okup. Chcecie bym wam zapłaciła życie mego syna?

— Zapłacę wam, byście tylko imienia naszego na głowę podrzutka nieprawego nie kładli.

— Co chcecie za uznanie go? kończyła księżna, jakby nie zważając.

Sołomerecki miął w ręku kobierzec o który się opierał i milczał.

— Połowa moich majętności, za życie dziecka.—

— Oddajcie mi całe, a nie uznam go! odparł książę dumnie.

— To ostatnie słowo wasze? spytała.

— Ostatnie! posłuchajcie mnie — nie chcę was podstępem brać. Dziecko te prześladować, gonić za niém, starać się będę je zgubić.—Nie obronicie go przedemną, nie wykupicie niczém. To ostatnia moja obietnica. Majętności wasze przejdą na mnie.

5*

— Nigdy — zawołała kobiéta płomieniejąc cała. Jeśli to dziecię nie odziedziczy ich po mnie—pójdę za mąż.

Sołomerecki zadrzał.

— Zobaczemy, rzekł, kto się odważy was zaślubić. Chcieliście wojny, przyszliście mnie do żywego rozdrażnić, nie odmawiałem nigdy walki, nawet z kobiétą, dodał, nie odmówię jéj wam. A teraz, zda mi się, nic już sobie nie mamy do powiedzenia?

Rozpacz która dotąd utrzymywała Sołomerecką, zmieniła się w przerażenie i zupełny sił upadek. — W chwili gdy książę ostatnich słów domawiał, łzy długo wzbiérające na powiekach, potoczyły się po twarzy. — Upadła na kolana i załamawszy dłonie—

— Bracie, zawołała rozdzierającym głosem, bracie, zlituj się nademną, nad dzieckiem— nad siostrą, krewną—zlituj się.—

Ta nagła zmiana, uśmiech tylko na usta księcia wywołała.

— Tak prędko! rzekł, z przekleństw i obelg do łez i prośby—! Jedno nie może na mnie więcéj nad drugie.

Wdowa jednak nie zrażona temi ostremi słowy, wołała ciągle—

— Zlituj się nad dzieckiem mojém — weź majętności kiedy ich chcesz, ale nie odbiéraj mu życia, nie wydzieraj imienia.—

— Odbiéram mu tylko to, co do niego nie należy, rzekł zimno książę.

Sołomerecka postrzegła w téj chwili krucyfiks stojący na boku i porywając się pobiegła, schwyciła, ścisnęła w rękach:

— Na ten obraz Boga ci przysięgam, to syn brata twego, to krew wasza, krew Sołomereckich.—

Zdawało się że książę chwilę zawahał, ale wnet zmarszczyły mu się brwi znowu, warga podniosła dumnie.

— Nie wzywajcie mościa księżno, imienia Bożego nadaremno. Ja przysięgom waszym nie wierzę.

— Czegóż ci potrzeba, abyś dał wiarę! przerwała rozpaczająca.

— Dowodów! dowodów prawnych, jasnych, aby nikt powiedzieć nie śmiał, że to dziecię, które imie nasze ma nosić, nie pewnego jest rodu —

— Ale te dowody są—

— Gdzież one są? spytał Sołomerecki.

— Wysłane do Rzymu, przez ojca twego.

— Szukajcie ich, gdzie są, a wprzód nim uzyskacie, nadaremnie, przełamać nie probujcie. Syn wasz zginąć musi, jeśli się dla niego nie wyrzeczecie imienia. — Niech żyje pod innem nazwiskiem. Usiłujecie go ocalić—

— Mów, czego chcesz! wszystko zrobię?

— Zeznajcie sama, że nie jest dzieckiem mego brata, odsuń go od następstwa, dajcie mi zaręczenie, że w powtórne nie wstąpicie śluby—a syn twój—żyć będzie.

— Jakto żebym uznała dziecko nieprawém, siebie zhańbioną!

— Tak jak jest, odparł książę.—

— Ty nié masz serca.

— Nigdym się nim nie chlubił — mościa księżno.

— Abym się wyrzekła dziecka, majętności, wstydu, wszystkiego!

— To do waszéj woli, pani siostro, zupełnie do woli waszéj.—Jak chcecie.

I spojrzał na nią tym wzrokiem szyderskim i pogardliwym, którego biédna kobiéta wytrzymać nie mogła.

— Ale ja mam świadka naszego małżeństwa? zawołała nagle porywając się kobiéta.

— A! to bardzo szczęśliwie. — Jakiego? spytał Sołomereeki.—

— Kobiétę – moją sługę!

— Kobiéty nie świadczą, rzekł zimno.— I cóż znaczy jeden świadek? a jeszcze taki?

— Ale przysięga moja?

— Dla mnie ona niczém. Jeśli to dziecko powtarzam wam, ma nosić imie Sołomereckich, niech dowiedzie, że do tego ma prawo.

To powiedziawszy książę odwrócił się i zostawując bratowę w rozpaczy, sam odszedł.

Widząc że napróżno by było starać się pokonać nieugiętego w uporze swoim człowieka, Sołomerecka wyszła płacząc.

Żebrak stał u samych drzwi prawie, na korytarzu, odarty, zestarzały choć nie stary, w pół nagi, wyciągał rękę ku niéj.

— Za dusze zmarłe! wyjąknął.

Ona spojrzała nań i rzuciła mu piéniądz, mówiąc—

— Módl się—i za biédnych żyjących.

Ubogi przyjął jałmużnę, pokłonił się i powtórzył:

— Za biédnych niewolników chrześciańskich w niewoli u niewiernych.—

Księżna na te słowa odwróciła się znowu.

— Dajcie, będę się modlił na ich intencją. Ja sam byłem w niewoli.

I wdowa dała drugą jałmużnę.

— Jak się zowiesz? spytała.—

— Jak! nie pomnę! dwadzieścia kilka lat przykuty do łańcucha, obsypywany razami, pod biczem niewiernych, zapomniałem rodzinnéj ziemi, języka i nazwiska własnego.

— Dwadzieścia kilka lat! powtórzyła wdowa mimowolnie.—I dawnoś wrócił?

— Nie dawnom uciekłszy, przywlókł się tutaj.

To mówiąc dziwném wejrzeniem mierzył odchodzącą, ruszył się za nią powoli, a gdy kolasa odjeżdżała od wrót, on śpiesząc co sił, starał się dojrzeć, gdzie się zastanowi. Opatrzywszy dom, zasiadł na przeciw w rogu ulicy i sparty na kiju, smutnie w okna poglądał.

—

FIRLEJOWI PISARZE.

III.

To cośmy nieco wyżéj o zaszczepieniu reformy w Polscze i Litwie powiedzieli, nie daje jeszcze dokładnego wyobrażenia stanu kraju i niebezpieczeństwa w jakiém zostawał.—Ostatnie chwile panowania Zygmunta Augusta, brzemienne były przyszłością, któréj niepodobna na ów czas zgadnąć i przewidzieć było.— Wszystko zdawało się zapowiadać zwycięztwo

dla nowowierców, upadek katolicyzmowi. W łonie duchowieństwa samego, wiara miała nieprzyjaciół. Stojący na czele jego prymas Uchański, który jakeśmy wyżéj wspomnieli, uczęszczał będąc kanonikiem krakowskim na konferencje Lismanina, dość jawnie sprzyjał reformie. Nikomu to tajném nie było, a przybyły do Polski kardynał Commendoni, znał go już z téj strony. Partja akatolików obiecując Uchańskiemu, wrazie zupełnego odszczepieństwa, najwyższą władzę nad polskim kościołem, utrzymywała go w błędzie. Prymas jednak nie odkrywał się z nim tak, aby zerwał zupełnie z katolikami, nie pewien zwycięztwa nowowierców, siedział jak pospolicie mówią na dwóch stołkach, a za przybyciem Commendoniego do Polski, z boleścią udaną, płakał przed nim na upadek katolików i grożące wierze katolickiéj w Polscze nieszczęścia. Nie uwiodło to wszakże kardynała, który z nadzwyczajną zręcznością, taktem prawdziwego dyplomaty, missją swoją spełniał.

O dwie najgłówniej rzeczy chodziło Commendoniemu, nakłonienie Polaków do wojny tureckiéj i wsparcie słabéj partij katolickiéj. Słabość rządów Augusta w ostatnich chwilach panowania, dodawała sił różnowiercom, którzy już głośno o zawładaniu państwem, o obiorze króla niekatolika i prześladowaniu wiary, mówili.—Tym czasem przyjęty jednak sobor trydencki, wprowadzony zakon jezuitów i gdy już katolicka partja zwyciężona być miała, walka na nowo rozpoczęta, zbiegiem późniejszych okoliczności, na stronę wiary, wygraną została. Ale w chwili gdy się nasza powieść toczy i nadzieje różnowierców były u szczytu. Rachowali oni na Litwę, w któréj staraniem Radziwiłłów i Chodkiewiczów wszczepiona została reforma, pobudowane zbory i uciśnione do ostatka duchowieństwo; rachowali na sprzymierzenie się z greckiego wyznania ludźmi, rachowali na Uchańskiego, Firleja, Zborowskich, i tylu innych w senacie zasiadających, a już reformie pozyskanych.—

W samym Krakowie i okolicy było zbiegowisko reformowanych; na czele partij stali tu Zborowscy i Firléj. Na szczęście dwie te rodziny świéżo, śmiertelnie poróżnione zostały.

Bracia Zborowscy synowie Marcina, niepoślednie mieli w kraju znaczenie, wielu przyjaciół, dostatki i przewagę. Najstarszy z nich Andrzéj, który jako głowa rodu, braci w ręku trzymał, jeden tylko nie przyjął był nowéj nauki.

Wszyscy zdawna nieprzyjaźni Janowi Firlejowi wojewodzie krakowskiemu i marszałkowi koronnemu, teraz zajadle nań nastawać poczęli, gdy Firléj województwo krakowskie przed Piotrem Zborowskim wojewodą sandomiérskim otrzymał, za wdaniem się Giżanki. Zborowski dumny i popędliwy poprzysiągł zemstę Firlejowi. Tym sposobem czego Commendoni najwięcéj pragnął, to się stało, stronnictwo różnowierców rozdwoiło się.

Przewidując rychły zgon wycieńczonego na siłach Augusta, Commendoni więcéj już o

przyszłości, niż o teraźniejszéj chwili myślał. Gromadził on do siebie wszystkich, na których katolicka partja rachować mogła: Alberta Łaskiego, męża wielkiego znaczenia, Andrzeja Zborowskiego (acz nie zupełnie, lecz w części jednak nowéj wierze pozyskanego), Mikołaja Paca, Karnkowskiego i innych.

A tak, gdy Zygmunt August z rozpaczy w rozpustę rzucony, konał w Knyszynie, otoczony rozwiązłém i chciwém dworactwem; gdy Anna Jagielonka, tuż obok w nędzy prawie, a przynajmniéj srogim niedostatku i opuszczeniu zostając, patrzała na skrzynie pełne pieniędzy, wywożone przez Giżankę; dwa stronnictwa od umiérającego i bezsilnego odwróciwszy się króla, w kraju rzec można panowały.

Zręczny Commendoni, nie pomału zastraszał nie katolików, trudno się go było jednak pozbyć; a kto wié czy przytomność jego, nie stanowiła w téj chwili o utrzymaniu katolicyzmu w Polscze.

Jan Firléj, o którym wspomnieliśmy, jako o jednéj z głów reformy, był to człowiek charakteru prawego, surowego, wzniosłego; jeden z tych ludzi tak moralnie wielkich, taką przewagę nad umysłami mających, że mu przyznawali niektórzy, jakoby koronę dla siebie roił i o nią się starał. U katolików wieść podobna chodziła o Albercie Łaskim.— Firléj za młodu przez Jana z Wieliczki wychowany, potém do Lipska na naukę wysłany właśnie w porze, gdy Luter walkę z katolicyzmem rozpoczął, chwycił się nowéj wiary, w któréj do śmierci wytrwał. Z Lipska do Padwy udawszy się, późniéj ze stryjem swoim Stanisławem Tęczyńskim podkomorzym sandomirskim, odbył podróż do ziemi świętéj. Część Azij przejrzawszy z powrotem do domu, na dworze Zygmunta I zajął miejsce, na ów czas szczeblem do wyższych będące, miejsce w kancellarij króla, osadzonéj największéj nadziei młodzieżą.—Widać jak dalece Firléj zaufanie Zygmunta posiadał, gdy ten

na zjazd Wormski w 1545 r. do Karola V wysłał i za powrotem nagrodził dwóma starostwy. Następnie jeździł do Wołoch, dla wysłuchania przysięgi Bohdana hospodara wołoskiego. Odtąd już wznosił się Firléj nieustannie, począwszy od trzydziestego roku życia: kasztelan bełzki, wojewoda bełzki, lubelski, marszałek koronny i wojewoda krakowski. Tak szybkie wznoszenie się a najbardziéj ostatnia łaska królewska, podobno za wstawieniem się Giżanki otrzymana, zrobiła mu naturalnie nieprzyjaciół.

Zborowscy burzliwi, stali na ich czele.

Teraz gdyśmy kilką słowy narysowali przeszłość wojewody i dali poznać jego w kraju znaczenie, wejdźmy do jego domu.

Tyle razy opisywano domy panów polskich, wspaniałość ich, dwory liczne, królewski przepych magnatów, że nie sądziémy tu potrzebném, wdawać się w opis szeroki i szczegółowy, krakowskiego wojewody mieszkania. Bogactwa Firlejów niezmierne, dozwalały im

żyć na stopie największéj, utrzymywać dwór ze szlachty złożony, takiego znaczenia w Polscze będący, zwłaszcza w czasie blizkim wyboru nowego króla.— Wykształconego smaku za granicą, wojewoda przepychom powierzchownym dogadzając zwyczajowi, innego rodzaju przepych zostawiał dla siebie. — Kosztowne obrazy i posągi nabyte we Włoszech, ubiory wschodnie, pamiątki z miejsc świętych, zdobiły komnaty wojewody. Ogromne domostwo zajmowane przez niego z dworem, dzieliło się na trzy prawie oddzielne części różnego charakteru. W jednéj mieściła się rodzina wojewody, jego żona i dzieci; na ten czas ostatnia z trzech małżonek Mniszchówna z domu, (co tłumaczy doskonale jakim sposobem Firléj przez Giżankę województwo krakowskie otrzymał). Tu on mieszkał sam, także tu przyjmował.

Druga część domu dolna, zajęta była dworem i kancellarją wojewody, trzecia wszystkiém co koniecznie potrzebne do życia pań-

skiego, najmniéj się pokazuje. Tam był zarząd kuchni, piwnic, stajen i t. p.

Powiedzieliśmy już, że wojewoda ogromny dwór utrzymywał.—Kancellarja jego składała się z największych nadziei młodzieży, przysposabiającéj się tutaj, do zajęcia późniéj stanowisk najważniejszych, w urzędach duchownych i cywilnych.

Pomimo że Firléj był ewangielikiem, nie wszystka młodzież dworska, wyznanie to dzieliła; większość nawet katolicką była. Wojewoda mało na to zważał, dwie bowiem żony mając katoliczki i wszystkim dzieciom prawie dozwalając się wychowywać w pozorach tylko nowéj wiary (gdyż wszystkie wyparły się jéj), nie miał czasu apostołować. Zostawiał to innym.

Ogromna sala na dole pałacu, sklepiona jak wszystkie ówczesne mieszkania w mieście, zajęta była kancellarją wojewodziańską. Tu nie tylko urzędu wojewodzińskiego, ale raczéj i bardziéj osoby Firleja tyczące sprawy zała-

twiały. Podwojewodzi w osobnym oddziale domu i oddzielnéj kamienicy, zastępował Firleja, w tém co starościńskiego i wojewodzińskiego urzędu dotykało. Wielki stół pąsowém suknem pokryty przerzynał salę, bliżéj ku oknom jéj posunięty, kilkanaście krzeseł skórą wybitych i wysiedzianych, dwie ławy suknem okryte, stół otaczały. — Szafa za szkłem zawiérała papiery i księgi, a z jéj otwarcia widać było, że często się radzić jéj musiano. Wśród stołu poruzrzucane karty, kałamarze, pieczęci, jedwab' z motkiem zielony, wosk farbowany, leżały bez porządku.

Kilkunastu młodéj szlachty kręcili się wesoło po sali, bo właśnie w téj chwili, starszego i przełożonego nie było. — Wyszedł zwołany do pana wojewody, z czego korzystając chłopięta, porzucali pisma i jęli się swywoli. Dwóch tylko siedzieli nad księgami z głowy pospuszczanemi.

— Słuchaj Bonar, krzyczał drapiąc się na okno młody jasnowłosy, kuso ubrany chłopak.

Niech mi się nie wiem co stanie, jeślibym nie wolał, sto razy, tysiąc razy być żakiem ubogim, niż kancellarzystą pana wojewody.

— Bardzo temu wierzę, rzekł Bonar, tobie smakuje swoboda, więcéj niż przyszłość, niż nadzieje—

— E! co mi tam nadzieje! zawołał chłopak. Człek się niemi nie nakarmi, a co życia zmarnuje. O! mój Boże i jakiego życia, najśliczniejszego, najweselszego. Co mi potém z bogactw, z dostatku i złotego łańcucha na szyi, kiedy zęby się wykruszą, łeb wypełznie i starość siadłszy na karku, grzbiet pochyli.

— Wyśmienicie ci do twarzy, gdy mówisz o starości!

Wszyscy podnieśli oczy na siedzącego w oknie, który tak się wybornie wykrzywił, zgiął, usta skręcił i trząść począł; że nawet dwaj najpilniéj piszący śmiać się poczęli.— Jeden z nich, jakby mimowoli oderwany od pracy, rzekł z westchnieniem, zakładając pióro za ucho.

— A lepiéj że, młodość prześwistać, przehulać, i potém na starość chleba żebrać, łaski prosić, stękać?

— Lepiéj i nielepiéj! posłuchajcie panowie. Znacie wy żywot i sprawy pana Mikołaja Reja?

— Któżby ich proszę nie znał, wszak ci je pan Trzecieski opisał.

— Alboż nie pracował? hę—

— Alboż nie siedział jak my za stołem w kancellarij.—

— E! to krótko—! Nic nie umiał, nic nie robił, ledwie się trochę pomazał łaciną, a tak go czcili wszyscy, tak mu na świecie dobrze było! Jeszcze po śmierci sławy używa.

- Miéj że głowę pana Reja! rzekł piszący.

— To bo to licho, że głowy za żadne pieniądze nie dostać!

Wszyscy znowu w śmiech, bo widać było że jasnowłosy sprawiał w kancellarij urząd wesołka.

— A zresztą, dodał, starość zawsze nie wiele warta, choćby ją odpokutowac, nie wielka szkoda, młodość zaś zmarnować, to jéj całem życiem odpłakać nie można.—Śliczne nasze życie za kratą jak bydlęta w stajni, przywiązani do stolika jak do żłobu!

— A czemu sobie nie pójdziesz, kiedy ci żle?

— Dobra rada! Szkoda że jéj nie posłucham. — Na żakam za stary, na predykanta za młody, na—

— Ot, siedział byś i pisał, przerwał drugi przepisujący, bo i nam przeszkadzasz w uszy świdrząc swojém paplaniem i sam czas marnujesz.—

— Kochanku, ozwał się uśmiéchając jasnowłosy, nie bądź taki porywczy.—Że tobie smakuje łacina arcy-biskupa Uchańskiego, listy kardynała Commendoni i uniwersały które przepisujesz, nie chciéj we mnie wmówić, aby tylko niemi żyć i oddychać było można. Ja przynajmniéj wolę przechadzkę na Krzemionki,

nad Wisłę, niż najpyszniejszą mowę kardynalską, napędzającą do wojny z Turkami.

Piszący schylił głowę i nic nie odpowiedziawszy skrobał dalej po żółtawym papierze. Inni spójrzeli nań tylko i dali mu pokój.

— Słuchaj Bonar, wołał jasnowłosy siedząc w oknie.—Chodźmy w rynek.

— Po co?

— Przewietrzyć się, a gdyby trafiło z kim potuzać, toby nas trochę rozkurczyło. Mnie ręce podrętwiały od pisania. Jeszcze mi dali taki niewyraźny list do wpisania w księgę.

— Jaki list?

— Biskupa kujawskiego do biskupa krakowskiego.—A tobie?

— Ja—wiadomości z Wołoch z kancellarij pana Łaskiego wpisuję.

— Już jeśli myślą, że to wesoła zabawka, zawołał jasnowłosy!—Słuchaj Bonar, chodźmy na rynek.

— A jak przyjdzie Dyl.

Dylem nazywano starszego, który był suchy i długi a milczący, twarz zaś miał barwy nieco drewnianéj.

— Towarzysze z łaski swojéj powiedzą, że nas kto posłał.

— Przynajmniéj nie ja—

— Ani ja—odezwali się piszący.

— Im bo koniecznie się chce zostać kanonikami krakowskiémi! rzekł jasnowłosy.

Pracowici nic nie odpowiedzieli.

— Idziesz Bonar?

— Czegoś mi strach, odłożmy to na późniéj, jeszcze gotowi wypędzić.

— Czegoż ty się boisz! zaśpiewał jasnowłosy. Niechże ja uboga chudzina z łaski wzięta, któréj kolanem odprawę dać mogą, ale ty krewny wojewody.—Gdybym był tobą, ja bym nic nie robił, tylko biegał po rynku, figle płatał i raz na dzień zjawił się tu, dla pokazania zębów Dylowi.

— Piękne dajesz nauki, ozwało się kilku.

Chłopak śpiewać począł znajomą piosenkę ówczesną:

Sześć dni roskosznie przedawam,
Siódmy diabłu oddawam.

— Skorzystałeś z przepisywania, rzekł jeden.—

— Jako?

— Bo nie skąd tylko z listu pana Orzechowskiego dowiedziałeś się o téj piosence—prawda?

— Prawda i nie miałem pokoju, ażem się jéj nauczył.

— Od kogo?

— Ba! od kogo, jużci nie kto mistrz do piosnek, jak żaki. Wyczytawszy w liście Orzechowskiego piérwsze dwa wiersze, chodziłem z groszem w ręku od żaka do żaka, wołając—kto mnie téj piosenki nauczy? Aż trafiłem na swego.

— Zaprawdę, było za co płacić?

— Albo nie? Wyśmienita piosenka, wolę ją od Kochanowskiego.—

— Poco Dyly poszedł do wojewody?

— Kto go wie? poniósł dwa listy do podpisania, jeden do pana Mikołaja Mniszcha, drugi do Referendarza.—

— Mówią, przerwał trzeci z boku, że nam towarzysz przybędzie.

— Jaki? co? doprawdy? zrywając się z okna zakrzyczał jasnowłosy. Otoś mi nowinę dał. Niech że cię pocałuję.

I wziąwszy w ręce głowę mówiącego, poważnie złożył na niéj pocałunek głośny.

— Przynajmniéj chmury się trochę u nas rozejdą! Otóż będziemy drwić z przybysza, o to mu figle płatać.—Ja naprzód —

— Naprzód, przerwał pocałowany, że z niego drwić nie będzie można, bo to nie taki urwipołeć jak ty—

— Hę! a co królewski syn?

— Prawieś trafił?

— Cha! cha! wytłumacz że mi tę zagadkę.

— Różnie różni plotą. — Ale to książątko

zowie się Słomecki, czy Sołomecki, czy licho go wie jak, bo to z Rusi.

— Sołomerecki, poprawił inny.

— Wyborne nazwisko do przekręcania, dorzucił jasnowłosy.—Będę go zawsze zapominał, Szlomecki, Słomicki, Słomkowski, Słoniński, i t. d. Ale którędyż on króla JMci dotyka?

— Baśnie to, ale zawsze są—

— Pani matka jego, podobna bardzo do królowéj Barbary—

— A! rozumiem—

— I bawiła na dworze nieboszczki królowy matki.

— Jeszcze lepiéj rozumiem.

— I stryj dziecka, uznać go za synowca nie chce. Ma nawet słyszę ochotę wielką łeb mu ukręcić.

— Dobrze, będziemy go panem stryjem straszyć.

— Takiego biédaka? spytał inny. Wszak

ci to nie dawno jeszcze żaczkiem był i chleba żebrał po ulicach.—

— A to jak?—

— A to tak, że pani matka, musiała go wysłać, porzucić, wyrzec się, żeby stryj nań nieustannie się nasadzający dał mu pokój.

— O! patrzcie, tęgi stryj!

— Przyjaciel Zborowskich, to dość.

— Zborowszczyk! To już rozumiem dla czego wojewoda bierze chłopaka pod swoją rękę.

— Ale i tu w Krakowie przydybali nieboraka książątko i byli pochwycili.

— Cudem się wywinął!

— Ciekawym go zobaczyć, tego żaczka księcia! Ot, kto wié, może go i nie będziemy prześladowali.—Tak tylko trochę z początku. Ale musi nam opowiedzieć całą swoją historją, bom już diable ciekawy.

— Ciekawyś jéj?

— Słuchałbym całą noc ciekawych historij. Ale u nas to o nie trudno.

— Czemu trudno? przerwał piszący, gdy byś chciał czytać, nalazł byś ich dosyć.

— Kędy?

— A kroniki?

— Piękna mi historja! jak król do króla posyłał, król z królem bił się, król królowi dał córkę, wziął kawałek kraju.—Mowy nad któremi ziewać trzeba do wyłamania szczęki, listy pełne polityki, a zimne że je wziąwszy w palce ręce marzną.

— A czytałżeś historją pana Tęczyńskiego w Hiszpanij, którą wczoraj przepisywał Bonar?

— Nie! alem nie ciekawy.

— Przecież to włosy od niéj na głowie wstają,—jak go tracić mieli.

— Doprawdy?

— Ot posłuchajcie kiedy chcecie.—Przeczytam wam.

I wziąwszy księgę ze stołu jeden z młodzieży usiadł z nią u okna, reszta do koła, a jasnowłosy uczepiwszy się kraty żelaznéj, wychylił w podwórzec.

JAN Z TĘCZYNA

W HISZPANII.

(Paprocki Herby 32 f.).

IV.

Wiecie Wmość, ozwał się czytający, do swoich słuchaczy, jako się pan Jan z Tęczyna za pozwoleniem a rozkazaniem miłego pana rodzica swego, w podróż odprawił, naprzód na dwór cesarza Ferdynanda, gdzie pacholęciem był czas długi. A choć tu się mógł dostatecznie sprawom rycerskim przypatrzyć i wyuczyć ich; nie było mu tego jednego

dosyć. Pomyślał później jakby się udać na peregrynacją do dalszych krajów chrześciańskich, aby widzieć *hominum mores*.

— Gdyby tak mnie kto wziął, choćby za pachołka, rzekł jasnowłosy, w koniec świata bym ruszył.

— Milcz, a nie przeszkadzaj.

— Milczę. To powiedziawszy wychylił się jasnowłosy i począł kredą po żupaniku tyłem doń stojącego towarzysza, rysować oślą głowę.

— „Miły pan rodzic, mówił daléj trzymający księgę, uczynił synowi tę powolność, żądze jego pochwaliwszy, listy mu od króla z kancellarij wyjednał do innych dworów, miał téż pan Tęczyński cesarskie do królów i książąt ziem rozmaitych, do papieża, do króla hiszpańskiego, francuzkiego, królowéj angielskiéj, króla portugalskiego i innych wielu.

— Kiedy już ma listy, niechże rusza w drogę, ozwał się jasnowłosy, schnę czekając jak go tracić będą.

— Co dalej następuje, własne jest opowiadanie pana Tęczyńskiego, które z księgi familijnéj na to od wieków utrzymywanéj, aby w niéj sprawy wielkie i pamięci godne, wpisywać. Pan wojewoda pozwolenie wziąwszy, wyjąć kazał. Słuchajcie.—To właśnie jakby gadał sam pan Tęczyński.

— Słuchamy.

— „Nie będę Wmmościom opowiadał, czytał z karty chłopiec—jako mi wielkie służyło szczęście w gonitwach a turniejach na dworze każdego; a raczéj napomnę tylko, co mi się przeciwnego trafiło w hiszpańskiéj ziemi. Z Rzymu bowiem wyrobiwszy sobie podług myśli méj listy u papieża do inszych państw królów, odpocząwszy w stolicy onéj sławnéj gdzie tyle ciekawości widzenia godnych znalazłem, przypatrzywszy się obyczajom włoskiego ludu, wielce osobliwym i cudnym, umyśliłem daléj jechać.—

Posłuchajcież tylko co mi się trafiło w francuzkiéj i hiszpańskiéj ziemi, gdziem o włos,

z dopuszczenia Bożego życia nie utracił, bo po tylu fortunnych rzeczach, przypadły i nieszczęścia, jako to więc bywa w peregrynacij.

Jadąc naprzód przez Francją do Hiszpanij, ziemią Gaskońską zwaną, kędy lud wielce zły jest i mściwy nad wiarę. Przyjechawszy nad morzem do jednego miasta, którego już nazwiska nie pomnę, zachciało mi się ostryg. Rzekłem tedy postulonowi, aby nabrawszy ich w worek wiózł za mną, które on wziąwszy w woreczek, uczepiwszy do konia, ruszył. Wyjechaliśmy z onego miasta i w mili już byliśmy jako pomnę na polu czystém, gdy postulon począł zwalniać kroku folgując swej szkapie i ostawać odemnie począł. Napomniałem go aby rychło jechał, ale on słuchać nie chciał — powtórzyłem to powtóre i po trzecie, ale on się niezdara oglądał tylko i po swojemu wlókł jak przedtém. — Kiedy tak rzekłem mu rozgniewany, zostań że się, a ja pojadę dalej bez ciebie. Na co on obru-

szywszy się znowu, począł mi łajać różnemi owemi tamtych krajów wymyślnemi przekleństwy i w dodatku grozić. Nareszcie porzuciwszy ów worek ostryg, jął się do szpady, którą miał u boku i skoczył na mnie.

Jam nie od tego, choć i z prostym plebejuszem w potrzebie się zmierzyć; a więc do swéj także. Ale jakoś z konia się biorąc, noga mi w szerokiém strzemieniu uwięzła, żem się zeń dobyć nie mógł, z czego korzystając postulon, ciął mnie po ręku, tak, że tylko co ręki nie odrąbał. Tu ja wymknąwszy nogę i konia zbywszy, na niego przypadnę i tnę go raz, a drugi, ażem brzydko okrwawił, zaczém na konia jego prędko przypadłszy, na którym tłumoki moje były nie małe, pobieżałem do posty.

Straszno mi było, abym w owym kraju cudzoziemskim, za te rany, wedle ich prawa nie odpowiadał, zafrasowałem się wielce, gdy mnie spytano o postulona. Alem ich odprawił tém, że mu koń ochromiał, aż się zostać

musiał, więc lekko jedzie oddawszy tłumoki. Pośpieszając zaś nimby przybył ów postulon siadłem na inne konie i choć wieczór był, biegłem przeciwko nocy i noc całą bez oddechu.

Ale to był dopiéro początek owych przygód, które mnie czekały na drodze hiszpańskiéj.—Jechałem daléj do Valadolid spokojnie, odbiérając piéniądze w bankach, gdzie miły pan rodzic one mi posłał, na ręce kupców.

Ostatnia już posta przed Valadolid, a był wieczór późny, zajechaliśmy do pewnéj austerij, które tam zowią *prsada*;—aby spocząć. Nawinął się gospodarz i podnosząc latarkę ku mnie, chwilę zadziwiony postał, potém kłaniając się, zawołał—

— Mile witam u siebie hrabię z Tęczyna.

Obejrzałem się zdumiony skąd mnie znał, aliścim go także sobie przypomniał zaraz. Był za moich pacholęcych czasów na dworze cesarskim ów Hiszpan, człek dobry i spokojny. Począł mi tedy wielką chęć okazywać

i zatrzymywać u siebie bardzo gościnnie nie puszczając dalej. Chciałem był zaraz tego wieczora jechać do Valadolid, ale mi nie dał ruszyć.

— Hrabio, rzekł, daj się namówić na noc, bo ja wiem dla czego was wstrzymuję. Miasto Valadolid właśnie wielkim pożarem goreje, niebezpieczno teraz cudzoziemcowi wjeżdżać i ukazywać się, gdzie lud nieszczęściem rozjątrzony, każdego posądzić gotów że za jego sprawą złe się stało, zwłaszcza iż rozchodzą się wieści, jakoby podpalaczami byli ludzie jacyś obcy, nieprzyjaciele kraju. — Zaczém, dodał, przenocujcie u mnie, a ja was jutro z rana do miasta przeprowadzę.

Rozmyśliwszy się tedy, postanowiłem u niego przenocować, zwłaszcza na jego dobrą dla mnie chęć zważając, i tak przy wspomnieniach cesarskiego dworu, za którym ów Hiszpan wzdychał, bo tam nie małe pieniądze zebrał, przeciągnęła się ochota długo w noc; że ja co rano miałem wstać, zasnąłem

potém do południa i wyjechałem aż po rannym obiedzie. Ów Hiszpan jak był przyrzekł prowadził mnie sam do miasta.—Ledwieśmy się do niego zbliżyli, postrzegliśmy dymy czarne nad niém i płomię żółte, całe place i ulice wygorzałe do szczętu, kędy pożar przeszedł. Wśród téj klęski, wlekli się kupami ludzie różni osmoleni, odarci tumulty czyniąc, jak to bywa w podobnych razach. Ale Hiszpan mój mijał ze mną zręcznie kupy pogorzelców; gdy unikając ich wpadliśmy z dészczu pod rynwę jak pospolicie powiadają. Albowiem najechaliśmy na tych, co ich zowią Aguzeli (Alguazil) którzy są jakoby gwardją *locum tenenti* miasta tego.

Ci naprzód poczęli nas pytać, co za jedni byliśmy? Na co odpowiedział im Hiszpan, który mnie znał, żem był cudzoziemcem znakomitym, podróżującym dla swojéj ciekawości. Nie spełna to oni zrozumieli, albo i nie chcieli może dać wiary, poczęli znowu pytać, którym imię moje powiedziałem i z dodatkiem

podobno dla nich, bo mnie tak obcesowo naskoczyli, jak zbójcy jacy. Na to oni w wielką furją wpadli, a nie słuchając gospodarza rzucili się otaczając nas. Jam do szpady nie miał czasu bo ich było wielu, z koni mnie wnet ze sługami zsadzili, tłumoki poodpinali, szpadę mi jeden oberwał, któremu gdy się bronię, drugi za puinał com go u pasa nosił pochwycił, inny za czapkę z bogatém spięciem, ale téj przecie nie dałem, broniąc się w ciżbie jakem mógł.

Odemnie rzucili się do sługi, który u pasa na sznurku miał klucze od wszystkich tłumoków, te mu naprzód odebrać chcieli, ale ja widząc to i wiedząc że gdyby je odebrali, mogliby mnie łatwo zgubić: bo za kluczami temi były papiery i listy, z których mogłem dać sprawę o sobie, sam naprzód za klucze owe ręką chwyciłem. Poskoczył jeden z tego chłopstwa i zaczął je rwać do siebie—ja nie daję. On dobywszy miecza rękę mi odciąć grozi.

— Tnij, rzekę, nie dam.—Aż się pomiarkował, gdy go postulon z gospodarzem poczęli uśmierzać i odszedł. Ja za klucze dopiéro i do siebiem je wziął. Tak mnie Pan Bóg od kalectwa ochronił; alem inaczéj uczynić nie mógł, wiedząc że tam wiele ludzi niewinnych ginie tym sposobem, gdy pojmawszy rzeczy rozchwycą, listy popalą, a nareszcie i samego stracą bez wiary. Otóż gdy się to dzieje, właśnie wielkie było zamięszanie w mieście z powodu kupców, którzy dojść nie mogli, czyją sprawą tak szkodliwy ogień został podłożony. Chwytali więc każdego cudzoziemca, a drugich i męczyli srodze, aby się czegoś dowiedzieć.

Gdym tedy kluczów nie dał, otoczyli mnie ci ludzie do koła, a zebrało się ich we dwoje, tłum wielki ludu ze wszystkich stron, któren widział jak mnie szarpać poczęto. Pochwycili prowadzić mnie Algaziłowie, a sług moich osobno, do gubernatora miasta, przez ulice płonące jeszcze, jakby złoczyńców jakich

wiodąc i krzycząc, odgrażając się straszliwie. Gospodarz ów ze sługi memi i postulon szli także; postulon bowiem konie miał nazad prowadzić.

Na zakręcie ulicy wśród tłumu i zgiełku, spójrzę ja, com ledwie oczy dla sromu wielkiego śmiał podnieść, ażci jadą na koniach strojno i pańsko, jacyś rycerskiego stanu ludzie; a obaczywszy tłum stali w miejscu.— Spójrzę powtóre i zdumiałem się zrządzeniu Opatrzności, poglądam jeszcze, aż oto jeden z nich poskoczy do mnie.

— Co to jest? Hrabia z Tęczyna? nie mylę się?

— Jam jest! ja — nie mylicie się—

— Dla czegoż cię wiodą, zawołał drugi do mnie, i wstrzymali ową gwardję.

— Alboż wiem, za co w waszéj ojczyźnie, rzekłem, spokojnie podróżujących zatrzymują i grabią?

Poczęli tedy oni na żołnierzy hałasować, ale to nie pomogło. Byli to: Conte di Luna

znany mi z cesarskiego dworu, gdzieśmy razem dworzanami pacholęty byli, Dundzian Mamilcza i Robulus wielce moi przyjaciele, z któremi miałem dawną zażyłość, pozsiadali zaraz do mnie z koni, czapkę mi włożyli, którą był zdarł jeden z tych chłopów, ową gwardją sługom swym rozpędzić kazali i między siebie z uczciwością wziąwszy, sami poprowadzili do Vicegerenta.

Srodze tak byłem moim tym wstydem zażarty, że gdyśmy przyszli do niego, nie powitałem go grzecznie, ani hiszpańskim językiem, ale po łacinie. Ten mnie zapytał:

— Alboś Niemiec?

— Polak jestem, odpowiedziałem, hrabia z Tęczyna. Zatém poświadczyli moi towarzysze znajomi, ale on zażądał dowodów i wymagał ukazania listów moich. Odpowiedziałem że tego uczynić nie mogę, bo mi wszystko zabrano i tłumoki i listy. Kazał je przynieść a były one na szczęście moje u Duńczynina Mauryki jednego z owych towarzy-

szy com ich spotkał, z którymi pospołu służyłem cesarzowi, za co dziękowałem Bogu.— Bo gdyby je byli chwycili ludzie inni a rozpatrzyli sami, znaleźli by tam dwie rzeczy, wielce mi szkodzić mogące. Naprzód księgi sługi mego Celiusza, którego ojciec heretyk wielki mieszkający w Bazylei (zwał się *Celius secundus Curion)* wydał był z Waldezjuszem (Janem) przeciwko papieżowi. Te gdyby byli napadli, sługa by pewnie poszedł na stos, a i panu Bóg wié, coby się było dostało. Druga, miałem w owych tłomokach kilka przyprawnych kunsztów w racach z prochem, a te zobaczywszy, bez wszelkiego miłosierdzia byli by mnie spalili, gdyżbym się popadł w mniemanie, żem niemi miasto podpalił. Wszakże te race były w tłomoku uwinięte w koszulę; a że jakoś około tego czasu właśnie spalono kilka miast i Valadolid właśnie gorzało, o którém mówiono że poszedł ogień z podpalenia, byłbym przypokutował niewinnie. Były także w tym tłomoku listy do królowéj an-

gielskiéj, które zobaczywszy, jął mnie pytać Vicegerent, jakiéj byłem wiary?

Rzekłem, katolik. Conte di Luna z drugiémi poświadczyli że tak było.

A chociażem mu dowodnie listy pokazał, com za jeden był, rozjątrzony odpowiedzią moją, odesłał mnie do więzienia, do rozkazu królewskiego. Zaczęli go więc prosić znajomi aby puścił mnie na rękojemstwo, ale i tego rozjadłszy się uczynić nie chciał, a zatrzymał mnie w niewoli, gdziem się dobrze biédy najadł. Pisałem tedy do ks. Piotra Wolskiego Dunina z domu Łabęciów, który na ów czas był w legacij do dworu hiszpańskiego, od króla Zygmunta Augusta, a skoro go moje listy doszły, natychmiast rozkazano mnie oswobodzić, czego musiał Vicegerent dopełnić, acz mu się nie chciało.

Jechałem więc do króla ze skargą na owych hamowników i szarpaczy, co po drodze spokojnych ludzi zatrzymywali i otrzymałem sprawiedliwość, a nawet doświadczywszy łaski

królewskiéj, znaczne upominki odniosłem. A miałem tam i na dworze królewskim przygodę. Był Hiszpan niejaki nazwiskiem Cornero, poprzyjaźnił się ze mną, bywałem ja u niego, on u mnie w gospodzie z innemi, z któremi grywaliśmy często. Raz tedy, przegrał do mnie ów Hiszpan summę nie małą, ale jéj zbytecznie żałując, chciał mnie zmusić abym mu ją powrócił. Nie mógł jednak tego dokazać, postrachem odgrażał się na mnie, z czegom ja ufając sobie najgrawał jeszcze. Jednego wieczora wracałem od przyjaciół ulicą, a ciemno było choć oczy wykol; nagle zastąpi mi drogę przed gospodą prawie, kilku płaszczami zawiniętych ludzi, chcąc mnie zelżyć. Jam wszakże ostrożny będąc, wziął się do szpady i przyparł do muru. Owi najęci siepacze ku mnie skoczą, ja po nich, wezmę się rąbać tak, że pouciekali, sam téż Cornero w téj potyczce ranny, tył podać musiał i więcéj mnie nie zaczepiał.

Od téj przygody, jakiś czas *omnia feliciter*

succedebant. Zamierzyłem do Portugalij jechać, gdzie sama królowa rządziła na ów czas, sprawując królestwo dla młodych lat króla. Tu z nawiedzenia Pańskiego złożony byłem ciężką chorobą, aż o mojém zdrowiu lekarze już małą nadzieję robili, ale za wielkiém staraniem i pilnością na dworze królowéj, od któréj nie mało dowodów łaski i serca doświadczyłem, także za staraniem kardynała Malvecego, przyszedłem do piérwszych sił, acz nie prędko jednak

Wróciłem stąd znowu do Hiszpanii — i w drodze trafiło mi się jechać przez Granatę, dawną Maurytańskich królów stolicę, gdzie sławne budowy niewiernych ręką wzniesione, prawie czarodziejską pięknością zdumiewają. Kilka tu dni zabawiwszy, wyjechałem pod wieczór z miasta w dalszą podróż. Ledwieśmy w lasku stanęli z mulnikiem na popas; aż ujrzałem kawalkatę znaczną znajomych moich, którzy za mną gnali, chcąc mnie przytrzymać jeszcze dla przyjacielskiéj biesiady. Nie mogłem

wszakże bawić się dłużéj z niémi dla pośpiechu, a poznać im się nawet dać nie chciałem. Zakrywszy więc twarz płaszczem, udałem sługę, słudze zaś memu panem być kazałem, a tak mnie młodzież owa, spójrzawszy tylko pominęła. Zaczém spocząwszy i ja w drogę, pomyślałem sobie, żeby to tak może najlepiéj było resztę podróży odbyć sługą niby będąc, a Celjusza panem czyniąc. Celjusz bowiem różnych ziemi języki dobrze znał i obyczaje, z ludem grubym i prostym doskonale sobie począć umiał.

Tu się przebrawszy wedle téj myśli, wjechaliśmy w góry, które się ciągną za Granatą, zowią się one Sierra Nevada, wierzchołki ich pokrywają śniegi i lody wieczne, skąd nawet latem do miasta dla ochłodzenia wody, biédni ludzie, bryły lodowe zwożą. Natrafiliśmy właśnie na wezbrany strumień i szeroko w jarze rozlaną wodę.—Pytam przewoźnika – Czy można przez nią? Milczy.

Pytam go powtóre, czy muły przepłyną?

potrząsa tylko głową i okazuje, że to trudno będzie. Ja tedy wtykam mu w rękę sztukę srébrną, aby pojechał probować. Puścił się na jednym mule. Pókiśmy jeszcze około brzegu probowali i umawiali się, noc nadeszła ale szczęściem księżyc był i świecił jasno, jakby naumyślnie. Już był przewodnik na drugiéj stronie i wołał na nas abyśmy za nim płynęli. Ja tedy mojego muła ku wodzie skierowałem, ale iść nie chciał, począłem go bić, stoi właśnie jak mówią—gdyby muł uparty, słudzy go kijmi poczęli okładać, ale i to nic nie pomogło. Tym czasem przewodnik z drugiego brzegu woła, abyśmy płynęli prędzéj gdyż nas mogą Maurowie błąkający się napaść i o gardło przyprawić. A muł jak nie chce tak nie chce w wodę. Na ów czas Celjusz, który pana udawał, probuje swego muła, czyby za tamtym i mój łatwiéj nie poszedł, w wodę go wpędził, ale zaraz od brzegu ponurzył się, z siodła spadł, że go całkiem widać nie było i tylko muł spłynął

na wierzch, bo go woda wyniosła i patrzeliśmy jak płynął niosąc na sobie szkatułkę moją z kotkiem morskim, którego wiozłem dla ciekawości do naszych krajów.

Gdy się to dzieje, a ja wyrzekając wielce za Celjuszem stoję, nadbiega jakaś hałastra z pochodniami. — Woda też ta gwałtowna z gór idąca, potrochu była opadła, poczęli szukać sługi, ale nie znaleźli tylko muła którego prąd uniósł i wbił pod jedno drzewo u brzegu.

Zatém, zebrawszy co było zostało, z owéj nieszczęśliwéj przeprawy, udaliśmy się z tém chłopstwem do wsi, gdzie była austerja. Zaraz się tedy wieść rozniosła że jakiś cudzoziemski pan utonął, którego słudzy tylko pozostali (bom ja jak wiecie, postać na siebie sługi wziął). W owéj wsi starszy począł na mnie intrygować, odebrawszy wszystkie rzeczy i tłomoki i kosztowności i com tylko z sobą miał. Téj nocy trzymali mnie pod strażą, a nazajutrz z rana zebrawszy ludzi

wszystkich, poszli szukać utonionego. Znaleźli Celjusza daleko od owego miejsca, a przy nim paczki z kosztownemi ubiorami mojémi i rzędami na konie, także na nim ubiór ze złotem, na palcach jego kilka pierścieni, drugie w kieszeni. — Szli pytać mulnika, który powiedział jak widział że tamto był pan, a my słudzy.

Włożył tedy starszy owéj wsi potwarz na nas, żeśmy pana swego utopili umyślnie i odgrażał się że nas wszystkich potraci.

Prosiłem go najmocniéj, aby posłali po dowody do gubernatora od którego byliśmy tylko dwie mile, ale tego nie chciał uczynić, bo tam taki jest zwyczaj, że każdy sobie pan. Posadzono mnie z ludźmi razem do kłody. Było to jakoś, jeśli dobrze pomnę we Środę, tak żem ja i przez Czwartek przebył w srogiém więzieniu, a pojąłem dobrze, że ów starszy umyślnie chce nas potracić, aby zabrał tłomoki kosztowne: bo gdyśmy do niego

po hiszpańsku mówić poczęli, rozumieć nas nawet nie chciał.

Tamem się już Bogu tylko, a Najświętszéj Matce jego polecał, noc całą nie śpiąc, srodze się frasując i pana rodzica mego a dom przypominając, myśląc że tu przyjdzie zginąć marnie, na obcéj ziemi, śmiercią nie szlachecką, ale złoczyńców, zdrajców i gburów. Głowa mi od frasunku gorzała, nadziei nie miałem żadnéj.

Rano jakoś w Piątek, przyszli słudzy starszego, chłopstwo i tłum prowadzić nas i bez sądu zgubić dla tych marnych kosztowności, których pożądali, jako szat ze złotem, com ich na dworze króla hiszpańskiego używał, kilka łańcuchów, manelli, pierścieni, zapon. Lecz na moje szczęście, kiedy oni te rzeczy z tłomoków, dziwując się im wykładali, listy wszystkie cesarskie, króla hiszpańskiego, króla francuzkiego, portugalskiego, i t. d., innych książąt i panów, do tego pasporty moje hiszpańskie i portugalskie z innemi papiery, co

były w puszce miedzianéj razem, wypadły. Te gospodyni austerij do siebie wzięła. Bóg to zrządził. W Piątek rano, przychodzi tedy chłopstwo i siepacze do więzienia naszego, gdzieśmy Bogu ducha polecali leżąc na słomie mokréj. Wiodą nas na stracenie wielką gromadą. Ale tylko cośmy za wrota owego domostwa wyszli, zerwie się burza sroga, wicher wielki i takie powietrze, że jeden drugiego o dwa kroki nie widział. Opatrzyli się siepacze że pod tę złą chwilę nié ma co robić, trzeba ustąpić do domu i poczekać.

Tym czasem w Piątek gdy się to dzieje, gospodarz onéj gospody, kędyśmy siedzieli, mocno zachorował, a leżał wpół śmierci, posłano za księdzem aby go na tamten świat gotował.—Ujrzał nas ksiądz przybyły i spyta, co my za jedni? Odezwę się jako do duchownego po łacinie, zdając mu ze wszystkiego sprawę, powiadając o listach, które zabrali mi z puszką. Pyta ksiądz kto je wziął.—

— Gospodyni ma je u siebie, odpowie-

działem. Ksiądz do niéj, a ona pokazała wszystkie jak znalazła. Przypatrzył się im ksiądz i pieczęciom także, zawołał starszego do siebie na którego powstał, jak śmiał podróżnych tak pochwytać i na nich nastawać. Zatém pobrawszy nas i papiery, dla gruntowniejszego rzeczy zbadania, jechał z nami nazad do Granatu.

Tu powziął już pewną wiadomość o mnie od kapitana i innych przedniejszych w mieście, co mnie znali. Posłano zaraz do wsi tamtéj za chłopstwem, kazano kilku pojmać; rzeczy wszystkie mnie powrócić i na gardle nawet miano karać tych zbojów, co by uczyniono pewnie, gdybym był na nich instygował. Ale do czego by mi się to przydało?

Nie tracąc czasu, znowum swoją krzywdę i despekt mi wyrządzony, opisał ks. Duninowi Piotrowi Wolskiemu, będącemu w Madrycie pod tę porę posłem; na tém przestając.

Jużem się był tyle razy w téj hiszpańskiéj ziemi nabrał strachu, żem z niéj jako żywo

co najprędzéj chciał uciekać. Za trzecim noclegiem od Granata w ziemi maurytańskiéj, jadąc do Sywilij (Sevilla) kwapiąc się bardzo, a nie chcąc bawić w drodze, słudzy którym ja przykazałem aby pośpieszali przodem się byli wyprawili. Z tych jeden wiódł muła z tłomokami i strawą, bo tam na taki kraj byliśmy trafili, gdzie czegośmy z sobą nie przywieźli, tego niedostali.—Jeść nie było co. Trafiło się nam dwie drogi, jedna w lewo, druga w prawo, zaczém słudzy moi pojechali przed się w lewo, a ja o tém nie wiedząc udałem się w prawo, minąwszy dobrą drogę. Jadąc ja na mule, a w tém słonko zaszło, zamierzchło.—W godzinę prawie drogi trafiłem ja na jedną chałupkę, w któréj nie zastałem nikogo jedno stare babsko.—A była ta chromina położona w górach i zaroślach gęstych, na ustroniu i pustyni. Począłem rozpytywać baby o drogę i gospodę, ta zaczęła mi coś odpowiadać i pokazywać, ale czy to dla wymowy dziwnéj, czy dla języka tamtego kraju

przekręconego po chłopsku, zrozumieć jéj nie mógł. Obaczywszy że nocleg nie pewny i ludzi moich nié ma, chciałem muła nazad wyprowadzić i jechać daléj, aliści wypadną kilku zbirów z chałupy na mnie prosto, wezmą mnie pod boki, jeden za muła chwyci, drudzy wpychają do izby.—Ja im się poczynam opierać, oni mnie pod boki macają i co który znajdzie przy mnie—to zabierze. Jeden chwycił kaletę z pieniędzmi (bom ich miał część przy sobie) drugi czapkę ze spięciem, trzeci puinał i szpadę; ba i pierścienie którem miał na palcach i w kieszeniach, co mi je podawali byli towarzysze i dobrzy przyjaciele—panięta i dworzanie cesarscy na braterstwo i pamiątkę—odebrali.

Tak, żem się tylko został w jednym błahym kabaciku, do którego się już nawet także poczęli przymawiać bardzo wymownie, jakby go zedrzeć ze mnie. Chcę ja wyjść z izby do muła—idzie dwóch za mną i pilnują, nie dając stąpić kroku. Nadrabiam fantazją, ale

mnie strach ogarnął, bo byłem w ich ręku jak w oprawców, pustynia wielka, drożyna którą nikt nie jeździł, ani nadziei posiłku, domyślałem się już, że słudzy inną stroną pojechać musieli.

W tém spójrzę, z owéj izby przez drzwi, aż za nią druga komnatka, wejdę tam: a jeden z tych łotrów za mną w krok. Nié ma sposobu. Wziąłem wiązkę słomy która tam leżała na ziemi, jakbym się chciał położyć (bo noc już była późna) a tego co za mną wszedł, zacznę prosić, żeby mi wody przyniósł.

Wyszedł jakoś, a wychodząc drzwi za sobą przywarł, ja je zaraz lepiéj jeszcze drągiem który znalazł pod ręką podparł; a sam począłem szukać jakby tu umknąć. Było tam okienko nie wielkie w las, ale wysoko w ścianie, ani do niego doleść.— Szczęściem jakiś tam kamień leżał pod niem blisko, podtoczyłem go wziąwszy się na siłę, poczne probować aby wyleść.

Trudno. — Wyjmę rękę, potém głowę, a ledwie wycisnąwszy się przez nie i padłszy w podwórze, zacznę uciekać w zarośla.—Tu mi rzeczka drogę zagrodziła. Wchodzę w wodę po pas. — Była to rzeczka jak to w tym kraju nie rzadko, otoczona skałami, co się nad nią powychylały w różne strony. Spójrzę do koła dokądby się tu schronić, Bóg mi dał dopatrzéć otworu w skale nad wodą, do którego przystępu nie było, tylko przez nią. Ja tam co prędzéj, wcisnąłem się skuliwszy, i przycichłem.

Nie minęło ćwierć godziny, słyszę hałas u brzega za sobą, pocznę mimowoli drzeć od strachu i zimna, bom był bez wszelkiéj broni. Widzę światło padające na wodę, a owi zbirowie z pochodniami klnąc idą, szukają mnie wszędy śladem. Myślę, jakoś mnie Boże uchował nie raz, uchowaj i teraz—pocznę się modlić w duchu. A tak zrządzeniem Bożém poszukawszy mnie chwilę, odeszli znowu.

Tum dopiéro przekonał się jawnie że szło o moje gardło.

Było już dobrze potém w noc, począłem z mojéj téj dziury wyłazić nazad i biedz drogą w tył, kędym przyjechał. Księżyc świecił jasno, tom téż musiał krzakami się przedzierać, aby mnie goniąc nie zobaczyli; późno już w noc, nad dzień, ujrzałem na drodze kawalkatę w kilka koni i mułów, kolass i ludzi, którzy byli przededniem wstawszy w drogę się wybrali. Wyjdę ku nim kwapiąc się, a ten co jechał szlachcic jakiś z żoną zawoła na mnie.

Ja do niego — pyta co za przyczyna żem tak odarty? pocznę mu opowiadać przygodę moją i zdawac sprawę o wszystkiém.—Dał mi zaraz ów szlachcic konia, zsadziwszy sługę swego i jechaliśmy razem do téj chałupki. Po drodze wstąpiliśmy do wioski, która była w górach niedaleko, aby z sobą wziąść ludzi dla pojmania złoczyńców, ale

przybywszy na miejsce nie zastaliśmy już nikogo w niéj krom owéj baby, którą zabraliśmy z sobą.

Szlachcic ten dał mi brata swego, aby mnie odprowadził do noclegu, gdzie ludzie moi byli na drugiéj drodze, pożyczył płaszcza swego, kaléty, czapki, szpady i puinału. Trafiłem przecie na zafrasowane sługi tegoż dnia, to tylko com miał przy sobie straciwszy, owemu przewodnikowi memu okazując wdzięczność, wedle możności obdarowawszy go (*).

— Co? już koniec? spytał jasnowłosy.

— Koniec.

- A ja bym do wieczora był słuchał.

Dwaj piszący ruszyli ramionami.

— Co za szkoda, żem tam z nim być nie mógł!

— Żeby jak Celjusz utonąć?

(*) Żadne z tych zdarzeń ani szczegółów nie jest zmyślone, wszystko do słowa prawie z Paprockiego.

— O! ba, nie dałbym się wodzie, jestem lekki.

— A potém co ma wisieć—

Wszyscy poczęli się mocno śmiać, gdy w tém drzwi się otwarły i dwie osoby weszły do sali.

U FIRLEJA.

V.

Zastraszona groźbami brata, księżna nie wiedziała co począć z sobą i synem, gdy nadszedł w samą porę pan Czuryło. Przywiązany do rodziny, z którą jego ojciec i dziad węzłami pokrewieństwa, potém domownictwa połączeni byli. — Stary szlachcic myślał tylko o tém, jakby księżnie którą za panię swoją uważał, skutecznie dopomódz.

Wziął się więc natychmiast do śledzenia kroków, związków, stosunków przyjaźni i myśli prawie księcia Sołomereckiego. Łatwo mu było nieznajomemu niby przypadkowie, ująć sobie dworzan, niczego się nie domyślających. Od nich to naprzód dowiedział się, że ich pan jest przyjacielem poufałym Zborowskich. — Ta wiadomość podała mu myśl ucieczenia się o pomoc do Firleja. Poszedł z tém do księżnéj; a że rodzina Sołomereckich miała dawne jakieś stosunki z Firlejami, wdowa chwyciła się podanéj rady żywo i z największą wdzięcznością. Pan Czuryło nastawał na to, aby nie spuszczając się na inne pobudki, nie zapominała powiedzieć o przyjaźni Zborowskich dla księcia. Był to pewny środek zainteressowania wojewody.

Szlachcic nie omylił się. Wojewoda wysłuchał wszystkiego zimno, ale gdy księżna nadmieniła, że jéj prześladowca ufa w pomoc Zborowskich—

— W. Ks. mość, rzekł dumnie wojewoda,

możesz rachować na moją. Syna jéj biorę do siebie, zobaczemy czy książę i panowie Zborowscy, ośmielą się go tknąć.

— Brat mój, brat mój, odpowiedziała wdowa, odważy się na wszystko. Czyż nie przekupywał sług, nie nasyłał zbójców, nie usiłował pochwycić biednego dziecka? nie sprzeciwia się woli królewskiéj?

— Zobaczemy, zawołał Firléj—pocierając szpakowatego wąsa, kto tu w Krakowie pan, czy Zborowscy czy ja.— Syn W. Ks. mości zostanie u mnie, nie wstyd mu tak jak innym zacząć od mojego dworu, nauczy się, przetrze między ludźmi; a tu go ręka nieprzyjaciół nie dosięże. Wy pozostaniecie w Krakowie?

— Jakkolwiek pilno mi na Ruś, będę oczekiwać na króla JM.

Firléj głową potrząsł smutnie.

— Muszę też wysłać do Rzymu, dla odzyskania dowodów mojego małżeństwa, tam wyprawionych przez księdza Hausera, przed laty kilkunastu.

— Jak go zowiecie tego księdza? spytał wojewoda.

— Hauser.

— Coś mi się to nazwisko błąka. Słyszałem o nim. Nie powrócił do kraju nazad?

— Wiesz co o jego losie? żywo przerwała księżna.

— Gdybyście mężnie znieśli, powiedział bym.

— Niech wiem przynajmniéj, mam li mieć nadzieję lub nie? —

— Żadnéj mościa księżno—na nieszczęście ksiądz Hauser z Rzymu wybrał się do Grecij, chciał zwiedzić Azją i miejsca święte, chciał podróżować trochę świata, jakom i ja za młodych lat czynił.

— Cóż mu się stało?

— W. Ks. mość nie rozpaczaj! dodał Firléj, ale wiemy to z pewnością, że się dostał na morzu będąc w ręce tureckich morskich łotrów, którzy go we spół z innemi schwycili w niewolą.—Naprzód u Turków na gale-

rach, potém u Tatar dokąd go przedano jako tłumacza zdatnego, żył dosyć długo. Dowiadywał się do kraju prosząc o wykup, ale nikt o tém nie pomyślał. — Musiał zemrzeć w niewoli.—

— A z nim ostatnia moja nadzieja! krzyknęła księżna w rozpaczy i płakać poczęła.

— Posłuchajcie mnie jeszcze, przerwał Firléj zastanawiając się. — W Rzymie ksiądz Hauser zrobić musiał co mu polecono. Tam więc ślad pozostał téj sprawy i można mieć z akt konsystorza wyjęte dowody.

— Sądzicie, panie wojewodo?

— Tak sądzę i napiszę o tém do kardynała Commendoniego. Nadto mu chodzi o pozyskanie nas, aby dla mnie uczynić tego nie miał.

Sołomerecka nie umiała wojewodzie wyrazić swéj wdzięczności. Nazajutrz Stanisław kniaź Sołomerecki, młode szesnastoletnie pachole, czarno ubrane, (gdyż księżna ślub uczyniła inszéj sukni mu nie dać, pókiby przez

rodzinę uznany nie był), udał się z mafką do pałacu wojewody Firleja. Stary popatrzał mu w oczy, pogładził poufale po czuprynie i kazał zawołać starszego sekretarza.

— Słuchaj, rzekł do niego, gdy suchy i długi (przezwany Dylem) pan pisarz wojewodziński stanął u drzwi z pokornym ukłonem. Słuchaj waszmość panie Wierzbięta: oto jest powinowaty nasz—książę Sołomerecki, którego matka w opiekę moją oddaje i poleca mi. Jest to dziecko prześladowane, zagrożone przez familiją związaną ze Zborowskiemi. Waszmość oka z niego nie spuszczaj. Mogą mu co złego uczynić. Polecam go wam; niech się uczy w kancellaryi naszéj, niech się wyciera między ludźmi, niech będzie jak Wmość poczciwy, a jak ojcowie odważny, szlachetny.

— I ja go wam polecam, przerwała postępując matka, i zdejmując z palca pierścień kosztowny, podała go panu Wierzbięcie, który nań wielkie oczy zrobił.—Przyjmijcie ten błahy upominek od matki, abyście spójrzawszy

nań, prośby jéj przypomnieli.—Ja wam oddaję najdroższy mój skarb.

Pomimo patetyczności téj sceny, która oblana była łzami księżnéj, pomimo surowego oblicza wojewody, trudno się było wstrzymać od śmiechu patrząc na pana Wierzbiętę.

Był to chudy, stary już mężczyzna, niezmiernie poważnego oblicza, wyrapionych oczów i tak sztywny, twardy, żebyś rzekł lalka drewniana.—*Anima damnata* wojewody, spełniał jego rozkazy ze ścisłością nadzwyczajną, nie pojmując aby co im na zawadzie stanąć mogło. Wprawny w pisanie listów i kancellaryjne formy, milczący i utrzymujący tajemnicę jak kamień w wodzie na dnie, zresztą nie żonaty, nie potrzebujący wiele, cały oddany pracy, nie pożądający rozrywek: był to rodzaj narzędzia nałogiem już tak nakręconego, że inaczéj myśleć i działać nie umiał, tylko wedle normy swojéj od lat kilkudziesiąt. Dodajmy że pan Wierzbięta całe prawie życie spędził w kancellarjach, gdzie go szacowano,

z których wyjść na wyższe stanowisko nie pragnął. Skromny w ubraniu aż do zaniedbania, obojętny na powierzchowność, w wyszarzanym kontuszu granatowym, w długich butach ciemno burakowych, obwiązany pasem jedwabnym prostym; pan Wierzbięta nigdy nie miał innego klejnotu w swojém posiadaniu nad sygnet z krwawnikiem, nigdy nie marzył o pierścieniu; gdy więc księżna podała mu kosztowny podarek; zrobił minę tak pociesznie zafrasowaną, spójrzał na wojewodę tak dziwnie, cofnął się tak przerażony, że Firléj sam uśmiechając się, rzekł:

— Dla czegoż nie mielibyście przyjąć.—

Pan Wierzbięta wziął, schylił się podziękować, ale mając już pierścień w ręku, zupełnie nie pojmował co z nim począć. Na myśl mu nawet nie przyszło aby go włożyć na palec. Palce pana Wierzbięty były to chude i długie klocki, pokryte jasnym włosem, zawalane atramentem i zupełnie wyrzekające się wszelkich ozdób. Biédny pan pisarz, począł od

intencij schowania pierścienia za nadrę, ale pomiarkował że z tamtąd wypaść może, potém pomyślał o kieszeni, kieszeń była podobno dziurawa; dopiéro ostatecznie nie mając co robić wsunął go na palec. — Ale że się na nim kręcił i groził upadkiem, pan Wierzbięta musiał go ścisnąć w dłoni.

Cała ta pocieszna scena odbyła się w jednéj chwili i księżna zajęta dzieckiem wcale jéj nie widziała; wojewoda, który ją przewidywał, znając poczciwego swego pisarza, uśmiéchał się nieznacznie.

— Niech W. Ks. mość będzie pewna, dodał łykając ślinę pisarz pomięszany, że będę czuwał nad księciem, jak—

Chciał powiedzieć, jak nad własném dziecięciem, ale w chwili wymówienia zdało mu się, że to będzie za mało i jąkając się dokończył:

— Jak nad najświętszym depozytem.

— Jestem tego pewny, rzekł wojewoda.— Znam cię i mogę ręczyć. Wyznaczemy knia-

ziowi komnaty podle moich i nie będziemy go spuszczać z oka.

— A teraz, dodał Firléj, niech pójdzie poznajomić się z towarzyszami.—Nie zhańbi go towarzystwo dobréj szlachty Bonarów, z któremi jestem spokrewniony, Srzeńskich, Ponętowskich i Górków. Każdy szlachcic, a niemało książęcych imion na dworach swéj braci poczynają i uczą się, jak potém własne złożyć dwory.

Stanisław na wezwanie matki pokornie jako starszemu i opiekunowi podziękował wojewodzie, ucałował matkę, która nad głową położyła mu znak krzyża świętego i wyszedł z panem Wierzbiętą.

Na ów czas to otwarły się drzwi sali, jakeśmy powiedzieli w końcu ostatniego rozdziału i w towarzystwie starszego sekretarza, wszedł książę Sołomerecki.

Jasnowłosy chłopiec stoczył się z okna na ziemię, wszyscy rzucili do stolika, a pan Wierzbięta, przybrawszy minę uroczystą,

z ręką ściśniętą w kułak (bo w niéj ciągle trzymał pierścień) odezwał się do zgromadzonych —

— Oto Wmościów nowy towarzysz, książę Sołomerecki, którego mi specjalnie pan wojewoda polecił, którego ja specjalnie Wmościom polecam, który zasługuje, który—

Pan Wierzbięta wcale nie był wymowny, pisał łatwo, ale potocznéj rozmowy utrzymać nie mógł, tém bardziéj gdy uroczyście trzeba było wystąpić. Na tém więc skończyło się przedstawienie.

Wszyscy ciekawie zwrócili oczy na nowoprzybyłego, który dosyć onieśmielony, zwłaszcza przypomnieniem żakowskich otrząsin, lękał się i tu czegoś podobnego. Niektóre z chłopiąt, poglądali nań nawet z wyraźną ochotą przyczepki; ale wszystkich rozbroiła pełna łagodności, szlachetnego wyrazu, smutku głębokiego a razem jakiejś młodzieńczéj powagi, fizjonomia książątka.—

Pierwszy jasnowłosy Michał Szpet po cichu odezwał się sympatycznie ku niemu pociągniony.

— Siadajcie, my was poznajomim z naszą robotą. Nie wielka to rzecz.

— Książę, przerwał pan Wierzbięta, nie będzie obowiązany do żadnéj pracy, życzyłbym tylko aby się jéj przypatrywał. — To nigdy nie zaszkodzi.

— Dla czegóż bym na równi z towarzyszami nie miał dzielić się robotą? odpowiedział Sołomerecki. — Owszem, proszę pana wyznaczyć mi.

— To, potém jeśli zechcecie, potém. Tym czasem przypatrzycie się.

W téj chwili szanowny pan Wierzbięta obmacał się, że klucza od swojéj izdebki zapomniał i zawsze trzymając pierścień w ręku, milcząc wyszedł z sali.

Pomimo wielkiéj ochoty żartowania i pomęczenia trochę wedle zwyczaju nowo-przybyłego, wszyscy uczuli dla niego taką jakąś

sympatję, że nikt począć nie śmiał. Wieść o niebezpieczeństwach, prześladowaniu, nie mało się też do tego przykładała.

— Jakkolwiek bądź, szepnął pan Ponętowski do Szpeta, trzeba żeby wedle zwyczaju ucztę nam wyprawił.

— Może nié ma za co? odrzekł jasnowłosy, dajmy mu pokój.—

— Gdzie tam! wszak za listem królewskim odzyskali majątki. No! powiedzcie mu o zwyczaju.—

Stanisław dosłyszał tych słów.

— Najmocniéj proszę, odezwał się obracając do mówiących, powiedzcie mi zwyczaje? Byłem żakiem, sprawiano mi otrząsiny, może ten obrzęd i u was się odbywa?

— Nie, nie lękajcie się, ale dla poznajomienia z towarzyszami.

— Mam osobne mieszkanie i przygotowanie wszelkie — pozwolicie się więc prosić na wieczorną zabawę?

— Właśnie, właśnie, zawołał Szpet klaskając w ręce, bo i czas potemu. — Żaczki się weselą (bez przymówiska) chodząc z jasełkami, my powinniśmy także przystojnie się zabawić.—Biéda tylko że to dziś wilja.—

— A zatém na jutro.

— Zgoda, piérwszy dzień święta.

— Będziecie więc łaskawi.—

— Będziemy łaskawi zjeść i wypić co nam dasz, odparł Szpet. —A teraz kiedyś ciekawy, siadaj W. Ks. mość za stół, ja wam pokażę co robiémy. Oto: starsi piszą listy, memorjały, uniwersały i t. p., my je przepisujemy; przepisujemy także *memorabilia* ciekawe różne, djarjusze i t. p. Ale nie zawszeż nad pisaniem siedzieć, to by szlachcicowi nie przystało, zwłaszcza kto się omniszyć nie myśli i na kanclerstwo nie patrzy. — Mamy konie, mamy broń, mamy podwórzec szeroki, gonim czasem, z kopją uwijamy się, strzelamy do Turka i rycerską sprawą zajmujemy się. Pan wojewoda nawet bardzo na to

patrzy; a W. Ks. mość umiesz co tego rzemiosła?

— Nigdym się go nie uczył; prędzéj jeszcze pisać, niż rąbać się i toczyć koniem patrafię; muszę dopiéro począć naukę rycerską.

— Dobrze traficie, jest tu stary Smogulski który was i prędko i wyśmienicie ułoży do szabli i konia. — Ale, dodał Szpet, jeśli to wam nie przykro, powiedzcie swoją historją. Mówią o was żeście nie mało biédy skosztowali?

Staś zarumienił się, ale odmówić nie mogąc, bo by to był brak zaufania, począł opowiadać towarzyszom, to co z przeszłych już wiemy rozdziałów.

Dwaj starsi wstali od pisania i także słuchali.

patrzy; a W. Ks. mość umiesz co tego rzemiosła?

— Nigdym się go nie uczył; prędzéj jeszcze pisać, niż rąbać się i toczyć koniem potrafię; muszę dopiéro począć naukę rycerską.

— Dobrze trafiacie, jest tu stary Smogulski który was i prędko i wyśmienicie ułoży do szabli i konia. — *Ale*, dodał Szyet, jeśli to wam nie przykro, powiedzcie swoją historją. Mówią o was żeście nie mało biedy skosztowali?

Staś zarumienił się, ale odmówić nie mogąc, bo by to był brak zaufania, począł opowiadać towarzyszom, to co z przeszłych już wiemy rozdziałów.

Dwaj starsi wstali od pisania i także słuchali.

NOC BOŻEGO NARODZENIA.

Na całym chrześcijańskim świecie, Bożego Narodzenia święto, obchodzi się uroczyście, wesoło: wielka to bowiem rocznica dnia w którym się Zbawiciel urodził, co świat miał wywieść ze stanu upadku, do walki i zwycięstwa nad grzechem. W dawnych czasach, gdy jeszcze duch wiary głębiej przejmował serca wszystkich, święto to i inne, daleko

VI.

Na całym chrześcijańskim świecie, Bożego Narodzenia święto, obchodzi się uroczyście, wesoło; wielka to bowiem rocznica dnia w którym się Zbawiciel urodził, co świat miał wywieść ze stanu upadku, do walki i zwycięztwa nad grzechem. W dawnych czasach, gdy jeszcze duch wiary głębiéj przejmował serca wszystkich, święto te i inne, daleko

z większém uniesieniem i zapałem religijnym obchodzone były. Boże Narodzenie, Zmartwychwstanie, Zielone święta, były dniami wesela dla całego kraju, a zwłaszcza dla ludu.

Nadeszła w XVI wieku reforma zmieniła nieco zwyczaje, odrzucając większą część obrzędów, jakoby bałwochwalstwem tchnących. Ale i reforma z ludem, z pamiątkami odwiecznemi od razu, gwałtownie zerwać nie mogła. To co później odrzuciła całkowicie, musiała w początkach tolerować. Jakkolwiek dwór wojewody Firleja, był już zupełnie protestancki, żona jego katoliczka, wielu domowników i dworzan tego wyznania, obchodzili dnie uroczyste wedle starych zwyczajów. W dzień Wilii Bożego Narodzenia, osobny stół nakryto dla katolików dworzan, któren piękna i młoda Mniszchówna, ostatnia Firleja żona z domownikami swemi zajęła.

Ukazały się gwiazdy na zimowém niebie, nakryto do stołu i złamaniem opłatka, życzeniami szczęścia, poczęła się skromna przy

pewnym wytworze uczta chrześcian czuwających i oczekujących Narodzenia Bożego.

Nadchodzące święto rozweselało wszystkich, i pomimo uszanowania dla pani wojewodzinéj, która zresztą sama z ciężkością powagę matrony z młodemi laty swemi pogodzic mogła, dworzanie na szarym końcu, uśmiéchać się i w pół cicho mówić poczęli. Późnym już wieczorem wstano od stołu, ale nikt z katolików spać iść nie myślał, zebrali się starsi i młodsi do Sołomereckiego, którego pokochali od razu i oczekiwali godziny mszy pasterskiéj.

Dawniéj zwłaszcza w miastach, uważano za obowiązek znajdować się na tym obchodzie nocnym, z którego winszując sobie, wesoło rozbiegano do domów spocząć do ranka.

Dworzanie katolicy księcia wojewody trzymając się zwyczaju, zebrali się także w projekcie udania do kościoła. Około północy, ruszyli wszyscy, razem z panią wojewodziną, która do kościoła Panny Maryi jechała.

Ulice Krakowa nie spały.—We wszystkich oknach gorzały światła, nikt prócz reformowanych (i to nie wszystkich) nie zasnął, dzwony odzywały się z wysokich wież kościelnych, okna domów pańskich smugami żółtego światła przerzynały czarnéj nocy oponę. — Konni, jezdni, piesi, rozmawiając; z pochodniami, z latarkami rogowemi i papierowemi w ręku śpieszyli na Mszę Pasterską. U drzwi kościelnych dźwięczała pieśń dziadowska i wołanie o jałmużnę.

Na ciemném tle nieba wyiskrzonego mrozem, ale bez księżyca, mrugały gwiazdki blade, tajemniczo w ziemię patrząc.

Wiatr dął ostry od północy—dachy śpiczaste kamienic bielały śniegiem, skrzypiał on pod nogami idących, a chorągiewki wież i ganków, szeleściały obracając się.

Tłumy żaków z pieśniami przebiegały ulice; więcéj jeszcze cisnęło się do kościołów. Poczęła się Msza Pasterska. Na *Gloria*, z chorów kościelnych ozwały się wedle zwyczaju

głosy żaków naśladujące śpiew ptasi, ryczenie zwierząt, zadęły fujary chłopskie.

Obrzęd ten z wielą innemi dziś zarzucony, powiadać miał, że się narodził Pan: którego wszelki zwierz chwali, któremu wół i osiół służyli piérwsi, piérwsi uklękli przed nim; któremu pastuszkowie pokłonili się przed innemi.—

Dziś by to może śmieszném się zdało, i w ów czas już szydzili z tego reformowani, ale lud rozumiał znaczenie głosów i modlił się goręcéj słysząc je.

Zawieszone w kaplicy jasełka, do których po mszy lud się cisnął, wyobrażające dziecię Jezus w żłobie, Józefa i Maryją przy nim, świeciły zapalonemi do koła świecami; wystawione zostały po wszystkich zwłaszcza zakonnych kościołach.

Około jasełek stara nasza pieśń brzmiała, pełna prostoty i wdzięku:

W żłobie leży

Któż pobieży i t. d.

Takich pieśni prawdziwie wesołych, radosnych, śpiewano mnóstwo i jak u grobu Zbawiciela, jęczał żal Matki i płacz chrześciańskiéj duszy, prostemi ale poetycznemi wydany słowy; tak u żłobu śpiewał świat cały ptaszęcym głosem wesela.

Musieli ojcowie nasi mocno być wiarą przejęci, gdy stworzyli te pieśni nabożne, jakim równych nié ma podobno żaden naród.— Niektóre kantyczkowe, tak niesłusznie wyszydzone śpiewy, są arcydziełami uczucia i poruszają bardziéj, niż najszczytniejsza modlitwa. Są one śmieszne dla tych tylko, którzy nigdy wiary nie mieli, uczucia ocenić nie potrafią i wszystko czego nie pojmują zbywają szyderstwem.

Wesoło, ochoczo, śmiejąc się, winszując, lud płynął z kościołów, przy odgłosie dzwonów zwiastujących Narodzenie Boże. — Żacy wrzeszczeli kolędę—dziadowie kolędę śpiewali, całe miasto kolędowało.

W jedną stronę szli Bursarze niosąc ogromną gwiazdę z papieru woskowanego, oświeconą wewnątrz; w drugą ze śpiewem i chichotaniem posuwały się jasełka, za niemi skakał żak przebrany za kozę, drugi za konia, trzeci za niedźwiedzia, czwarty za niedźwiadnika Cygana.

Był to początek tylko, owych peregrynacij jasełkowych, które się od pierwszego dnia święta przedstawiały potém kilka tygodni. Pomimo mrozu i późnéj nocy, wesoła ciżba dworzan pana Firleja i połączonych z niémi znajomych, zatrzymała się śród ulicy, gdzie żacy stanęli pod kamienicą z szopką.

— Zrzućmy się, zawołał Szpet, niech nam jasełka pokażą.

— Dobrze, dobrze — ozwały się głosy zewsząd i każdy dobył pieniądz z kieszeni, otulił się opończą lub futrem, wybrał miejsce, oczekiwał dramatu. — Żacy, którym przewodniczył Urwis, zajęli miejsce pod bramą domostwa, ale zważając na ostry wiatr cofnęli

się za zgodą wszystkich do gospody otwartéj. Tam w kącie izby, w jednéj chwili zapełnionéj ludem, stanęła szopka na stole.—Do koła przodem panowie dworzanie, daléj słudzy ich, mieszczanie i tłum widzów ciekawych. Nigdy w naszych teraźniejszych teatrach, tak głębokie nie panuje milczenie, tak zaostrzona nie oczekuje na widowisko ciekawość. Scena ta maleńka, lalki co na niéj grają drewniane, pożycza im wyrazów żak prosty; a tak się wszyscy patrzeć i słuchać gotują—aż miło.

Obejrzmy widzów, jak postawali na palce, powyciągali szyję, pootwiérali oczy. — Pani Marcinowa z córką Jagusią, ciśnie się nie lękając dworzan do piérwszego rzędu, ufa w posiłek pani Janowéj, która jéj towarzyszy. Twarzyczka wdzięczna Jagusi, różowéj, białéj z siwemi oczkami dziewczynki, więcéj pomogła tu niż łokcie i kułaki Marcinowéj; a z córką przepuszczono i matkę do piérwszego rzędu, jako *malum necessarium*.

Z podziwieniem ujrzał Staś teraz dworzanin

już i pobożne chłopię, poczciwą Marcinowę. Nie zapomniał on jałmużny co mu pierwsza na wejście do stolicy serca dodała i zbliżył się do przekupki.

— Nie poznajecie mnie, rzekł do niéj.

Mieszczka zrobiła wielkie oczy, pociągnęła ku sobie córkę i spytała—

— A bo co?

— Pamiętacie tego żaczka, któremuście dali gomółkę płaczącemu i modlącemu się za miastem?

— A bo co?

— To ja, to ja—

— To wy? to być nie może.—A któż wy jesteście? a dla czegoż?

— Długa to historja, odpowiedział Staś, dziś mam matkę, jestem dworzaninem pana wojewody, ale nigdy—o nigdy nie zapomnę waszéj jałmużny.

Marcinowa rumieniąc się z poczciwego wstydu, odbąknęła.

— Nié ma tak o czém pamiętać!

— Kto to taki? spytała stojącego obok dworzanina.

— Kniaź Sołomerecki!

— Książę!

— Tak jejmościuniu, ale widać że się znacie zdawna.

— Jakże! w Imię Ojca i Syna, tażem ja mu dała była jałmużnę!

— Kiedy był żaczkiem.—

— Tak! tak! ale powiedzcież mi, jakim sposobem on - książę - tak był opuszczony? Ja nie pojmuję, przecież ma matkę.—

— O! to strasznie długa i zawikłana historja, odpowiedział spytany.

— Wyobraźcie sobie pani Janowa. — Ale ja muszę się tėj tajemnicy dowiedzieć, koniecznie.—Wszak to ja księciu dałam jałmużnę, pamiętacie, wówczas, gdyśmy razem za miasto wyszły.—

— Nic nie pamiętam.

— Na Boga narodzonego, to osobliwsza

historja. — Gdyby mi nie wstyd, prosiłabym tego książątka, żeby mi opowiedział.

Sołomerecki dosłyszał tego i obracając się ku mieszczce, rzekł, przyjdę kiedy do waszego straganu i powiem wszystko.

— Niech ci Pan Bóg nagrodzi, bo bym się spaliła od ciekawości.

Gdy się to dzieje, w drugim końcu izby, dwóch ludzi spina się na palce, włażą na ławę i wskazując ręką na Sołomereckiego, szepczą:

— Oto ten! gdy w tłumie wychodzić będzie, zarzucić mu płaszcz na głowę, zatulić gębę i za mną.—

— Dobrze, ale jeśliby dworzanie—

— Ciemno w ulicy, uważajcie tylko dobrze który i szybko z nim potém.—

Ale oto szopka już ustawiona, świeczki pozapalane, nad nią kręci się jasna gwiazda, Urwis pokłonił się z za teatru znajomemu swemu Stanisławowi, i rozpoczynają.

Koza kręcąc głową stoi z jednéj strony,

niedźwiedź z drugiéj. — Koza co raz to poskoczy ku Jagusi, a Jagusia ciśnie się do matki i krzyczy ze strachu, a przytomni się śmieją.

Widzicie naprzód żłób, stajenkę, w żłobie leży dzieciątko spowinięte, obok niego Józef święty sparty na lasce, klęczy tuż Matka Boża. — Wchodzą prowadzeni przez anioła pasterze, i kłaniają się. Wół i osiół pochylili głowy nad ubogą kolébką Zbawiciela, i wedle słów pieśni rozgrzewają oddechem chłodne powietrze, zimnéj szopki.—

Wszyscy poklękli i śpiewają:

W żłobie leży—

Potém: *Anioł pasterzom mówił—*

Potém: *A cóż z tą dzieciną będziem czynili?*
Braciszkowie mili, że się nam kwili,
Zaśpiewajmy mu wesoło i t. d.

A gdy ta pieśń brzmiała, za każdą zwrótką ochoczego śpiewu, cały zgromadzony lud tak głośno, tak raźnie wywodził—Hoc, hoc—Papą—Ta-ta i t. p. że aż miło było słuchać.

W téj to prostéj piosence, tyle uczucia, tyle prawdziwéj radości.

Cicho, cicho, otóż i dramat.

Wyszedł z czerwoną brodą Herod i każe dzieci mordować, rozpiéra się na scenie, a Urwis co za niego gada, tak głos swój nastroił, że dzieciom aż straszno. Nie długie panowanie Heroda.—Otóż i śmierć z kosą, ot djabli, którzy po niego przychodzą.—Napróżno im się wyrywa, wyprasza, chce opłacić—nic nie pomaga, szarpią go i niosą do piekieł.

To rozwiązanie tak przewidziane i pewne, wzbudza jednak w patrzących dziwne uczucia. Jeden z bliżéj stojących wyrobników, mikształtnikami zwanych, palnął pięścią w stół i zawołał:

— Dobrze mu tak, gałganowi!

Chwila upłynęła i wysuwają się nowe postacie — Stara baba robi masło, djabeł jéj pomaga.

Na widok silnych poruszeń staréj baby, widzowie polegają od śmiechu.

Z udaną gorliwością djabeł to jéj podstawia maślnicę, to przytrzymuje, to bije, a za każdą razą jakiegoś figla spłata. — Rozlewa się mléko, wywraca naczynie; diabeł ubolewa, płacze, jęczy, a co raz to szturchnie starą, to popchnie, to szczypnie.

Niepodobna opisać jak to bawi patrzących, którzy wyłażą na ławki, na stoły, aby lepiéj widzieć komedją. Pomimo figlów djabelskich masło nareszcie zrobione, wymyte i złożone w jaszczyku.

— Co z masłem będziemy robili? pyta baba djabła.

— Wiecie co matuniu, odpowiada ogoniasty zasiadając przed nią z miną poważną, pójdziemy na targ i przedamy.—Jeść szkoda.

Idą tedy na targ, ale w drodze djabeł odkrada jaszczyk, wylizuje masło i napełnia naczynie, nie możemy dokładnie powiedzieć czém, dość że czémś bardzo nie smaczném i nie pachnącém. Uczyniwszy to, namawia babę, aby wróciła do domu i zjadła sama

masło dla swego zdrowia. Baba daje się przekonać, wracają. Djabeł rozpala ogień, przynosi zamiast prosięcia kota i piecze go przy ogniu, z przygotowaném masłem.

Stara poczyna wołać swojego faworyta Maciusia, ale się go dowołać nie może.— Siadają do stołu, po długim ogonie poznaje baba zdradę, walka się rozpoczyna. Djabeł bez broni, stara występuje z ożogiem. Naturalnie kończy się porwaniem do piekieł czarownicy.

Arędarz i arędarka oszukujący chłopów ukazują się na scenie;—i tu nieuchronny szatan czatuje na nich uśmiechając się. Widziemy go skurczonego pod stołem karczemnym i śledzącego oczyma, każdy obrot żydów. Żydzi go nie widzą, a ta okoliczność silny w patrzących wzbudza interess, po pociesznéj scenie z chłopami rozpoczyna się druga między małżeństwem, która się kończy bitwą. Djabeł występuje w roli rozjemcy.

Jeden Urwis mówi za wszystkich, za He-

roda, za śmierć, babę, djabła, żyda i żydówkę, a za każdą razą odmienia głos, i to cienko, to grubo, to chropawo się odzywa pociągając sznurki swych lalek.

Jeźli współczucie może radować artystę, Urwis powinien był być zupełnie szczęśliwym, widzowie bowiem tak doskonale przejmowali się sytuacjami, tak się na całe gardło śmieli, tak kleli, że dla nich widocznie złudzenie było całkowite.

I nowa też składka zaraz się dla żaczków zsypała w czapkę. Ciżba poczęła wysuwać na ulicę z gospody. Dworzanie pana wojewody już wychodzić mieli, gdy Marcinowa chwyciła silnie za rękę Sołomereckiego.

— A to wy?

— Poczekajcie, na miłość Bożą—

— Co chcecie?

— O was tu chodzi—

— Cóż takiego? Co takiego? spytali dworzanie inni.

Marcinowa tajemniczo położyła palec na

ustach i uprowadzając nieco w stronę księcia, rzekła mu:

— Nowy spisek na was się knuje, tylko co dwóch ludzi za mną stojących, umawiali się jak was przy wyjściu z gospody pochwycić. Bądźcie ostrożni.

— Co to? co to? przypadając spytał Urwis, który uradowany składką, nadbiegł pomówić z dawnym towarzyszem.—Rozumiem pewnie znowu Lagus, lub jemu podobni?

— Coś takiego.

Dworzanie w chwili się naradzili.

— Zasadzić się na nich.

— Niech dwóch wynijdzie naprzód i zasiądzie.

— Ja, wychwycił się Urwis, porywając za kij z kąta.

— Wy, rzekł Szpet do Sołomereckiego, we środek.

— Mam przecie szablę.—

— Dajcie jéj pokój, teraz nie czas jéj używać. Pozwólcie się nam pobawić.—

Naradziwszy się Urwis z dwóma ze dworu wyszedł; udając odchodzących do domu, zastanowili się niedaleko i czatowali na zasadzonych. Ale nikogo widać nie było.

Po chwilce Sołomerecki z resztą towarzyszów wysunął się z gospody. — Nadspodziewanie jednak, nikt nie posunął się ku nim.

— Zasadzka gdzieindziéj, rzekł Szpet: trzymaj się Sołomerecki środka, jest nas dziesięciu, żak idzie z nami, damy sobie rady.

Szli więc daléj w milczeniu. Noc była ciemna, mroźna, i od śniegu tylko nieco przezroczysta. — Na zawrocie żebrak któregośmy widzieli goniącego za księżną wyjeżdżającą od brata, ozwał się do nich ponuro:

— Miejcie się na baczności!

Dworzanie wojewodzińscy chcieli go zatrzymać i wypytać, ale rzucił się w ciemne przejście i znikł im z oczów.

W tejże chwili prawie cztérech ludzi pijanych, śpiewających na całą ulicę, zbliżyli się ku nim. Każdy z nich w inną stronę się

zataczał, tak że to stąd, to zowąd do kupki dworzan wpadli. — Nikt nie posądzał ich nawet, i śmiejąc się z opilców, Szpet począł nawet draznić jednego, gdy ten z pod czapki nasuniętéj pójrzawszy na idących, we mgnieniu oka zarzucił Sołomereckiemu opończę swoją na głowę i świsnął. Inni poskoczyli ku niemu i nim dworzanie dobyli szabel; już cztéréj napaśnicy, chwycili księcia i unieśli. Urwis idący przodem w przeciwną stronę nie uważał tego, ale krzyk go obudził; razem z innemi począł biedz za uciekającemi, których widać było przemykających się po pod kamienicami.

Nagle jak w wodę wpadli, znikli. — Ulica w tém miejscu rozchodziła się na krzyż, a że pełno było na niéj powracających z kościołów, a noc ciemna, nie podobna rozeznać, gdzie się napaśnicy podzieli. Urwis popędził w jedną, dworzanie w dwie inne strony podzieliwszy się.

zataczał, tak że to stąd, to zowąd do kupki dworzan wpadli. — Nikt nie posądzał ich nawet, i śmiejąc się z opilców, Szpet począł nawet drażnić jednego, gdy ten z pod czapki nasuniętéj pojrzawszy na idących, w mgnieniu oka zarzucił Solomereckiemu opończę swoją na głowę i zwisnął. Inni poskoczyli ku niemu i nim dworzanie dobyli szabel; już czterej napaśnicy, chwycili Księcia i unieśli. Urwis idący przodem w przeciwną stronę nie uważał tego, ale krzyk go obudził; razem z innemi począł biedz za uciekającemi, których wiele było przemykających się po pod kamienicami.

Nagle jak w wodę wpadli, znikli. — Ulica w tém miejscu rozchodziła się na krzyż, a że pełno było na niéj powracających z kościołów, a noc ciemna, nie podobna rozeznać, gdzie się napaśnicy podzieli. Urwis popędził w jedną, dworzanie w dwie inne strony podzieliwszy się.

WYZWOLONY.

Nakoniec rozpacz była w domu księżnéj, a gniewem wrzał wojewoda.—Ponieważ żadnego śladu znaleźć nie było naprzód można o pochwyceniu pacholęcia, tylko księcia Sobieskiego, wojewoda rozesłał szpiegi swoje, rozstawił podle mieszkania tego ludzi i sam krokiem śledził. Nie tyle mu może o dziecię, co o obrazę własną, co ją szpiegowały zuchwalce.

VII.

Nazajutrz rozpacz była w domu księżnéj, a gniewem wrzał wojewoda.—Ponieważ nikogo innego posądzać nie było nawet można o pochwycenie pacholęcia, tylko księcia Sołomereckiego, wojewoda rozesłał szpiegi swoje, rozstawił podle mieszkania jego ludzi i kazał kroki śledzić. Nie tyle mu może o dziecię, co o obrazę własną, co o skarcenie zuchwalca,

który na jego dworzanina śmiał się porwać, chodziło. Wojewoda siwe brwi marszczył i stukając w stół pięścią wołał, że nie daruje winnemu, gdy go odkryje. Księżna płakała. Z rana zaraz udała się do Firleja, on jéj przyrzekł pomoc i w istocie pracował gorliwie, aby wynaleść dziecię—; ale to matki zaspokoić nie mogło.

— Dziecko moje, syn mój, wołała, o Boże mój, o Boże, ratuj je, ratuj mnie, zlituj się nademną!

I obłąkana, z pałacu wojewody, rozkazała się wieść do księcia Sołomereckiego. Dworzanie szydersko się kłaniając wdowie, otwarli jéj podwoje.

Książę siedział w krześle ponury.—Jakby się spodziewał tych odwiedzin, nie zdziwił się niemi; zachmurzył tylko.

— Dziecko moje, syn mój! zawołała wpadając matka.

— Czego chcecie? nie rozumiem was mościa księżno? rzekł zimno Sołomerecki.

— Dziecko moje, porwane przez was, gdzie jest, gdzie jest? oddajcie mi je.—

— Powtarzam że was nie rozumiem.

— Dziś w nocy pochwycono mego syna, książę—zlituj się nademną—wróć mi go.—

— Kto pochwycił syna waszego? z wyraźną niespokojnością zrywając się rzekł książę. Pochwycono go powiadacie?

— O! nie udawajcie na Boga, nie chciejcie matki oszukać—książę.—

— Nie oszukiwałem w życiu nikogo, dumnie odparł Sołomerecki.— Nie wiem gdzie jest syn wasz, gdybym go porwał i gdybym wiedział o nim, nie taiłbym się przed wami, jak się nie taję, że chcę go mieć w ręku i że mu zgubę gotuję.

— Weźcie wszystko książę—wszystko—a oddajcie mi syna.—

— Ale ja nie wiem gdzie jest ten podrzutek! zawołał książę. To nowy wybieg wasz, dodał po chwili namysłu. Umieściliście go u wojewody, dla tego że Zborowscy są przyja-

ciółmi memi, teraz samaś go pewnie odesłała kędy? nie wiem, aby ukryć przedemną i upominasz się go u mnie, dajcie mi pokój.—

— Wszystko co mam za syna mego!

— Wszystko co W. Ks. mość masz nie może zapłacić hańby imieniowi wyrządzonéj. Ale ja nie wiem gdzie on jest.

— To być nie może! wy wiecie, książę na wszystko święte zaklinam, na wnętrzności twéj matki, na głowę ojca.—

— Dajcie mi pokój, księżno, szukajcie go gdzie się wam podoba—ja o nim nie wiem!

— Słuchaj, z zapałem macierzyńskiego niepokoju o dziecko, zawołała księżna, chcieliście abym się dla niego wyrzekła imienia, majątku, abym wam zapewniła posiadłości rodu naszego.—Spełnię wszystko, uznam się zhańbioną, dziecie moje nieprawém, siebie bezecną, oddam co mam; powróć mi go.

Książę się zastanowił chwilę, ale pomyślawszy, szydersko odrzekł.

— Wybornie! wiedząc że go wam wrócić nie mogę, sami go gdzieś znowu ukrywszy, udajecie teraz—

— Książę—ja płaczę, łez udać nie można.

— Dla czegóż nie?

— Oddaj mi syna, oddaj mi Stanisława.

— Dajcie mi pokój, mościa księżno.—Nie zapiéram się, że radbym go mieć w moim ręku, ale go nié mam.

— To być nie może! Więc wasi ludzie, więc nie wiecie chyba, któżby go śmiał porwać, dla czego?

— Wybornie udajecie, rzekł Sołomerecki nieporuszony, ale mnie to nie oszuka. Baliście się, abym go od Firleja nie pochwycił, co bym był nieochybnie uczynił, dla tego zapewne. — Ale ja go znajdę, ja go znajdę! zakrzyczał.

Księżna nie wiedziała co myśleć, osłupiała, z rękoma załamanemi stała przed nim.

— Ja go znajdę! powtórzył książę.—Może myślicie zapozwać mnie o porwanie dziecka?

myślicie z pomocą wojewody wymódz co postrachem! Ja się niczego i nikogo nie lękam mościa księżno, ani wojewody, ani was, ani samego króla! tknąć mnie nikt nie śmie. Niech przekonają! niech przekonają! Nie przekonanego więzić nie można.— Wojewoda się nie odważy.

I podniósł pięść zaciśnioną w górę.

— Ale ktoż o tém mówi? zawołała Sołomerecka, ja was przyszłam błagać, nie grozić wam.

— Powtarzam wam, krzyknął popędliwie wywracając stół stojący przed nim Sołomerecki.—Ja nic nie wiem!

— Słudzy wasi.

— Nie wiem! nie wiem! nie wiem! Jeśli słudzy, nie wiem także — nie męczcie mnie dłużéj!

— Litości książę!

— Ja nié mam litości.

— Zlituj się.

— Nie umiem się litować.

— Wszystko co mam.

— Nic od was nie potrzebuję, prócz wyrzeczenia się dla syna imienia, którego nosić nie powinien.

— Ja się go wyrzekam.

— Dobrze, dajcie mi to na piśmie, urzędownie.

— Ale oddajcie mi syna.

— Syna — ja nie wiem o synu waszym, gdy mi dacie zaręczenie, razem z wami szukać go będę.

— Nie lękajcie się zdrady, zawołała Sołomerecka, przysięgam wam — oddajcie mi syna, wszystkiego dopełnię.

Książę zgrzytnął zębami z gniewu.

— Ale do stu tysięcy czartów—ja nie wiem gdzie jest!

— Książę, to być nie może! któżby go pochwycić mógł!

— Nie wiem, na Boga nie wiem!

— Wy! wy byście nie wiedzieli!

Sołomerecki zniecierpliwiony zadzwonił silnie i rzucił o ścianę dzwonek, który trzymał w ręku.—Słudzy wpadli tłumnie.

— Wołać mi Nemirę!

Drugiemi drzwiami wszedł zielono ubrany mężczyzna, ten sam któregośmy widzieli u Hahngolda.

— Gdzie jest to dziecko? spytał go książę surowo.

— Ja nie wiem, przerażony rzekł Nemira.

— Kto je porwał? ty? twoi? ten żyd? mów! prawdę mów! mów przy niéj. — Jeśli go masz w ręku tém lepiéj—mów!

— Prawda, mości książę, odbąknął nie śmiało Nemira, ja—chciałem—to jest—starałem się, spełnić żądanie W. Ks. mości względem tego dziecka—ale—

— Ale, nie bąkaj mów mi, a prędko! zawołał Sołomerecki posuwając się ku niemu.

— O! mów na Boga! mów, dodała matka.

— Ja—ja—ja nic nie wiem.—

— Twoi go porwali dziś w nocy?

— Nie—mości książę, nie.

— Może ten żyd—wiesz—

— Jaki żyd? żyd? drząc podchwyciła księżna.

— Nie, mości książę, ja nic nie wiem.

— Widzicie! widzicie! odwracając się do księżnéj, rzekł Sołomerecki, cały poburzony i zapieniony z niecierpliwości i gniewu. — Ja nic nie wiem, wyście to sami go skryli, wy udajecie. — Ale na Boga nie ukryje się on przedemną, nie! nie!

I rzuciwszy wejrzenie srogie krwią zaszłe na bratowę, Sołomerecki oddalił się z Nemirą, którego odwiódł w głąb domu.

Gdy wyszli do drugiéj komnaty, książę stał chwilę zamyślony, popatrzył w oczy dworzaninowi.

— Ty w istocie nic nie wiesz? rzekł wolniéj.

— Nic, mości książę, zupełnie, piérwszy raz słyszę.

— Ale ten żyd, umówiony od was dawniéj, wiedział o tém, może chce mając w ręku chłopca targować się.—Może to on go porwać kazał?

— Tego nie wiem mości książę.

— Śpiesz do niego! Jeśli tam jest to chłopię, zostawić.—Wszystko co chcę otrzymam. Nikt inny nie mógł go porwać, jeśli nie wymysł matki.—

— Ale ona płakała mości książę.

— Łzy kobiéce! to rosa codzienna! Nie kupić ich! Nemiro - idź—

Nemira skoczył na konia w stajni i popędził ku mieszkaniu Hahngolda, ale tam żyda nie zastał. Powiedziano mu że od dni kilku nie widzieli go w domu, niespokojni nawet byli o niego.—Gdzie się podział? Nemira pojechał do Bursy, któréj był kampsorem, ale i pan Pudłowski i nikt o żydzie powiedzieć nie umiał, od dwóch tygodni znikł z miasta.

Nie wiedząc kogo Hahngold używał wprzód do porwania dziecka, Nemira nie mógł daléj

badać, powrócił więc do domu z niczém. Książę Sołomerecki palił się ze złości.

— To ich robota, wołał, rozesłać szpiegi, zapłacić choćby ostatniém, zastawić moje klejnoty—do ostatniego rzędu, a dojść gdzie on i co z nim zrobili.

Toż samo prawie zimniéj tylko mówił wojewoda Firléj, który posądzając nikogo innego tylko księcia i Zborowskich, klął się, że porwanego odszuka. Dziesięciu żydków sprawnych, których wojewoda do wszystkich podobnych używał robót, rozlecieli się po Krakowie, po okolicach. Matka ze swojéj strony pieniędzmi, prośbami, łzami, starała się nakłonić otaczających ją, aby dołożyli starania dla odszukania dziecka. Ona pomimo zaklęć, nie mogła przypuścić nawet, aby kto inny nad Sołomereckiego był sprawcą tego nowego nieszczęścia.

We łzach gorzkich przepędziła ona cały piérwszy i następne dni święta, nie wychodząc już tylko do kościoła, nie widując tylko

pana Czuryłę i swoich domowników. Nie miała już nawet siły drugi raz jechać do wojewody; któren odwiedziwszy nazajutrz Sołomerecką, starał się w nią wlać otuchę, zapewniając, że syna jéj wynaleźć musi. Ale rozesłani szpiegowie nic stanowczego nie przynieśli.

Od piérwszéj bytności księżnéj u Sołomereckiego, ubogi który otrzymawszy jałmużnę, biegł za powozem do jéj domu, który później ostrzegł idących dworzan w nocy Bożego Narodzenia, aby się mieli na baczności, siadał teraz zawsze na progu kamienicy, w któréj mieszkała księżna, lub na przeciw jéj okien. Człowiek ten niedawno wpisany do Bractwa, opowiadający się niewolnikiem wyzwolonym niedawno z jassyru niewiernych; okrywał się tajemnicą dziwną.

Ponury, milczący, nie przestając z nikim ze swoich, niewiedzieć gdzie uchodząc na noc, ani wiedzieć skąd zjawiając się na dzień, zdawał się przemyślać nad czémś długie

godziny i rzadko kiedy wyciągał rękę po dar przechodzących. Szczątek żelaznego łańcucha, oznaka zbytéj niewoli, wisiał mu zawsze na ręku. Obojętny na chłód, na słotę, na obelgi i razy, z oczyma wlepionemi w okna kamienicy, lub niebo, całe dnie nieruchomy przepędzał.

Czasem tylko zbliżając się do drzwi domu, którego zdawał się pilnować, mrucząc coś spoglądał wewnątrz, a gdy napotkał sługę ochotnego, rozpoczynał z nim rozmowę, wypytując o księżnę.

— Co was ona obchodzi? pytali go.

— Co! hm! dała mi kilka razy jałmużnę! Niech jéj Bóg nagrodzi. — A potém, jestem rodem z Rusi, moi rodzice służyli u jéj rodziców, dziadowie u dziadów. — Słyszałem o tém w dzieciństwie.

— Jak się nazywasz?

— Nie pomnę—nie pomnę! — Dwadzieścia kilka lat niewoli!

— Można zapomnieć nazwiska?

— O! można! z głębokiém powiadał westchnieniem.

Nazajutrz po porwaniu młodego Stanisława, ubogi siedział u proga jak zawsze. Słudzy już tak do niego przywykli, że go nie spędzali.—Widział wyjeżdżającą i powracającą księżnę, a gdy zalana łzami stąpiła w ganek, zatrzymał ją wyciągając rękę.

— W imie matki Bożéj.

— Módl się za dziecię moje.

— Bądźcie o nie spokojni, odrzekł ubogi. Wczoraj —

— Ty wiesz co? spytała żywo.

— Byłem tam—

— Byłeś? mów.—

— Słyszałem umawiających się.

— Kto oni?

— Jacyś, jacyś—szlachta.—Było ich cztérech.—Przestrzegłem dworzan, ale to nic nie pomogło.

— Ci ludzie? znasz ich może.—

— Nie znam, ale to nie byli ludzie księcia.

— Ty znasz księcia?

Ubogi spuścił głowę. — Bóg czuwa nad uciśnionym, rzekł. — Bądźcie spokojni.

— O! gdybym mogła.

— Strzeżcie się Czuryły, szepnął bardzo cicho żebrak. I on tam był wczoraj. Dodał jakby zmuszając się, z wyrazem boleści.

Matka stanęła zdziwiona, przerażona nie pojmując, co to ostrzeżenie znaczyć mogło i po chwili zdumienia, nie pytając więcéj weszła do domu.

Nie mogła ona najmniéj jednak posądzać wskazanego starca, który tyle jéj dał dowodów swego przywiązania.

Przestroga żebraka zdała jéj się omyłką dziwną, wszakże niespokojna, posłała za nim. Pana Czuryły nie było w Krakowie, odjechał niewiedzieć dokąd.

Rozmyślając nad tym wypadkiem, księżna co raz bardziéj poczęła dziwić się słowom żebraka i natręctwu tego nieznajomego człowieka, którego od niejakiego czasu wszędzie

spotykała. Posądzająca jak wszyscy nieszczęśliwi i zdradzeni, wpadła na myśl, że mógł być szpiegiem księcia.

Chwytając się jéj, rozkazała natychmiast śledzić ubogiego i nie spuszczać z oczów. Sama zaś rozesławszy ludzi na wszystkie strony, w niepokoju i modlitwie, oczekiwała wiadomości.— Ale napróżno. Dnie po dniach mijały, a rozesłani jeden po drugim z niczém powracali. Wojewoda Firléj nic nawet przez swoich wprawnych szpiegów dowiedzieć się nie mógł nad to, że w nocy Wilii Bożego Narodzenia, pięciu ludzi ciemno ubranych wyjechali z Krakowa drogą ku Rusi. — Jeden z nich w pośrodku jadący, średniego wzrostu wysmukły, płakał i wyrywać się zdawał milczącym towarzyszom, którzy nic mu złego nie robiąc, gwałtem jednak prawie uprowadzili go z miasta, dokąd zdaje się chciał powrócić.

NAD BOHEM.

spotykała. — Posądzając, jak zawsze nie-
znoszącego i zdradzieckiego, wpadła na myśl, że
mógł być zaprzedany Księciu.

Chwytając się jéj, rozkazała natychmiast śledzić ubogiego i tego, zaszedł z ociców. Sama zaś rozesławszy ludzi na wszystkie strony, w niepokoju i modlitwie, oczekiwała wiadomości. — Ale napróżno. Dnie po dniach mijały, a wysłani jeden po drugim z niczém powracali. [illegible] przez swoich wysłanych szpiegów dowiedzieć się nie mógł nad to, że w nocy Wilii Bożego Narodzenia, pięciu ludzi ciemno ubranych wyjechali z Krakowa drogą ku Rusi. — Jeden z nich w pośrodku jadący, średniego wzrostu wysmukły, płakał i wyrywał się silnemu milczącym towarzyszom, którzy mu nic złego nie robiąc, gwałtem jednak pomału uprowadzili go z miasta, dokąd ciągle się chciał powrócić.

VIII.

Kilkonastą laty wprzód nim opowiadane zaszły wypadki, między Bracławiem a Winnicą, nad skalistym brzegiem Bohu, który po zielonéj kręcąc się łące, gdzie niegdzie nastawiał czarną skałę mchem porosłą; stał mały zameczek na wzgórku. Wał wysoki, opalisadowany otaczał go kręgiem; z jednéj strony opływała rzeka, z drugiéj woda fossy głęboko wyrzniętéj,

na której bokach tu i ówdzie wyrzynał się kamienny pokład.

Dawno nie deptane wały, pokryły się darnem zielonym, dzikiemi chwasty, a gdzie niegdzie dziki chmiel zarzucał się na palisady i gęstemi splotami okrywał je, wycinane swe liście zwieszając na bujno porosłe bodjaki, drobną tarninę i szypszynę. Piękne są brzegi Bohu, bo gdzie wzgórek dozwoli wzrokiem sięgnąć daléj, to widzisz gaje brzozowe i brzostowe, łąki zielone, pola złociste, role czerwonawe, wsie w sadach ukryte, kopuły wysmukłych cerkwi, krzyże wiejskich smętarzy i środkiem Boh jak wstęgę, a gdzie niegdzie zwierciadła stawów, błyszczące od promieni słonecznych. — Ale piękny widok ten nie zawsze równie był pięknym. Często wpadający z pod Oczakowa lub Budżaku Tatarzy przepłynęli płomieniem po polach, po wsiach, stratowali zielone łąki i dymem zakopcili Podole; a gdzie były wesołe osady, sterczały czarne pale pogorzałych chałup,

wysokie słupy upadłych cerkwi, osmolone skelety drzew.

A nim naszli Tatarzy uprzedzali ich wedle podań ludu, kruki i ptastwo gromadami lecące, wisiała długo chmura w stronie od któréj przyjść mieli, powietrze było ciężkie i duszne, a nocą dźwięki niepojęte przebiegały powietrze i ziemia drgała jakby ze strachu wczesnego.

Zameczek o którym mowa, nigdy jeszcze nie był w mocy tatarskiéj, zimą broniły go strome wały, starannie wodą polewane i jak szkło śliskie, rzeczka która tu bystro płynąc nie zamarzała nigdy, nareszcie kilka działek ku wrotom obróconych, w baszcie wchodowéj ustawionych. Nie opodal pod skrzydłem zamku długa sadami uwieńczona rozsypała się po wzgórzu pochyłém wioska.—Zdala na widnokręgu bielał gród Winnicki, Korjatowiczowska dzielnica. Wnętrze opasane wałami, bardzo było szczupłe. — Jedna wchodowa ze spuszczanym mostem baszta broniła wejścia,

dwie inne mniejsze stały na rogach czworoboku nieregularnego, a raczéj w dwóch punktach koła zajętego wałami, na usypach podniesionych nieco.

Palisada łączyła bramę i dwa boczne bastjony, z których strzelnic patrzały działa na biegącą doliną drogę.

Wewnątrz kilka tylko budowli murowanych. Naprzeciw wrót długi piętrowy budynek z jedném wejściem warownèm i strzelnicami, z kilką oknami nieregularnie powycinanemi na rzekę i smugi wychodzącemi, nic go nie zdobiło, z dwóch tylko rogów uczepione jak gniazda jaskółcze maleńkie bastjoniki, zawieszone w górze, zakończały długą gładkę ścianę, przeciętą dwóma odrapanemi szkarpami. Prostopadle do głównéj budowy dwie inne mniejsze i niższe zajmowały resztę placu. Ściany ich niepodniosłe, ale dachy za to śpiczaste i kilka nad niemi okopconych kominów. Oprócz tego stajnie, składy, murowany skarbiec okrągły, kryły się za officyną i fol-

warcznym domem. Dwie stare lipy, jedyne w podwórcu drzewa, smutnie nad wał wychylały gałęzie.

Ku rzece, po za domem, nie wielkie miejsce zasadzone wiśniami, brzostami, brzozami i młodą lipiną, formowali niby ogródek, na którego wolnych od drzew grzędach, uprawiano ogrodowinę.—Z wierzchołka wału gdzie się wysuwały nań drzewa, dziwnie piękny odkrywał się widok na rzekę naprzód, potém na dalekie łąki, pola i Winnicę, jakeśmy wprzód opisali. Ten téż tylko widok mógł ożywić nieco mieszkańcom zameczku, smutny ich pobyt w ciasném ogołoconém z drzew prawie i szczelnie opasaném miejscu.

Z okien piętrowych głównego domu, z baszt i bramy tylko, można było spojrzeć daléj, z podwórca zaś i dolnych piątr, nic nad palissadę i wał nie dojrzałeś.

W tym to ustroniu stryj opiekun, sierotę swoją, którą za syna wydać pragnął, lat kilka przetrzymał w srogiém zamknięciu.

Świeży wypadek z bogatą dziedziczką z domu Ostrogskich, uczynił go nieufnym, bojaźliwym, niespokojnym. Nie wiedząc czy potrafi obronić, starał się ukryć dziedziczkę wielkich majętności, które lękał się dla domu swego ujrzeć straconemi. Tutaj zaś w pustym prawie dla napadów tatarskich kraju, gdzie bogaci właściciele lękali się przemieszkiwać i jakiemikolwiek dochody kontentując, spuszczali je na rządzców co się odważyli wziąść na się obowiązek ciężki władania dobrami; tutaj nie było kogo lękać się księciu. Wprawdzie smutnie, samotnie, dziko rosła synowa przyszła, ale bezpiecznie za to. Nie obawiał się bowiem najmniéj książę Tatarów, raz że zameczek jakkolwiek mały, był obronny i nie do wzięcia, dobrze osadzony w działa, prochy i kule zawsze zaopatrzony; powtóre że Tatarzy rzadko miewali czas o zamki się kusić. W wielkich tylko wyprawach i to na krótko czasem probowali szczęścia, a jeśli od razu nie zdobyli, odstępywali.

Tu zaś dla niezamarzłéj rzeki, stromych wałów i czujnéj straży, niespodziane pochwycenie, było prawie niepodobném.

Biédna sierota, z starszą od siebie nieco Agatką, dziewczyną wiejską do usług dworskich wziętą, z ochmistrzynią Janową i kilką sługami, smutnie najweselszy wiek pędziła. Kilka razy jak burza przeszli mimo zamku Tatarzy i widziała ich z zamkowéj baszty, sypiących się szarańczą na puste wyludnione wcześnie sioła, widziała bezsilnie oskakujących wały, rzucających strzały do bramy dla wystraszenia oblężonych, podnoszących na żerdziach skrwawione głowy pobitych ludzi. Jedno to tylko przerywało smutnie, powolnie wlokące się godziny jak siostry rodzone, jak bliźnięta do siebie podobne.—Po przerażeniu, po pogromie, przebiegali często nazad Tatarzy (jeśli co zwykléj nie szli drugim szlakiem), albo puszczała się za niemi pogoń.

Napady tatarskie zawsze prawie zimą się trafiały, wiosnę, lato, jesień, trzeba było

spędzić, głosu nawet obcego nie słysząc, w ciszy głuchéj. — Przerywał ją tylko wieczorem głos dzwonów po rosie dochodzący z Winnicy, szmer wioski niedalekiéj, odzywy ptastwa na błotach i szum wiatru na polach hasającego.

Jakie były zatrudnienia sieroty? Jak wszystkich kobiét naówczas. Nikt nie myślał o nauce, bo dla niewiasty kądziel, modlitwa, dziecko, gospodarstwo, stanowiły wszystko. Przygotowanie więc do przyszłego życia nie wiele kosztowało. Uczono prząść, szyć, czasem trochę pisać (nasze księżne w XVI wieku ledwie się niekiedy podpisać potrafiły) zresztą modlić się, ręcznych robót kobiécych wytworniejszych, gospodarstwa i t. p. Większa część tych rzeczy nabywała się bez pracy prawie, z napatrzenia, machinalnie; zostawało wiele czasu swobodnego na piosenki i dumania.

Sierota nasza śpiewała rzadko, dumała wiele. Nic tak nie usposabia do myślenia jak samotność tęskna.

W cieniu kilku tych drzew za zameczkiem rosnących, na ławce darniowéj, w towarzystwie Janowéj lub Agatki, czasem sama, sierota Anna, całe dnie przesiadywała, z kądzielą swoją, z krosnami na których wzorki wyszywała. — Wieczorami słuchała głosu dzwonów, śpiewu ptaków, szmeru rzeki.— A kiedy nad tym szerokim krajobrazem tak urozmaiconym i pięknym, zaszumiała burza, lubiła z baszty modląc się wprawdzie, drząc trochę, patrzeć na pędzące chmury po nad ciemniejącą ziemią.

Wieczorem to były powieści bez końca, śpiewy nieustanne. Agatka na czele, za nią inne dziewczęta rozpowiadały dziwne stare dzieje, o Żmijowym wale, o Tatarach, o Wiłkołakach, o zielu Baranku i t. p. śpiewały ruskie smutne pieśni, o sokołach kochankach, o mogiłach stepowych i kozakach mołodcach.

Wszak wiecie podanie o zielu Baranku, podanie które nietylko w ustach ludu, ale w poważnych księgach starych znajdziecie.

W tatarskiéj ziemi rosnąć ono miało na nizkiéj łodydze, wychodził z roli baranek, zupełnie zwierzątku tego nazwania podobny, nawet wełną okryty, zjadał on do koła trawy otaczające, potém usychał. Powieść o téj dziwnéj roślinie, znalazła zupełną wiarę wszędzie, nasz Okolski ją jeszcze i późniejsi nawet powtarzają.

Takiemi to powieściami o dziwach, o zaklętych królewnach i królewiczach po nie przybywających zdaleka, karmiono smutną jéj młodość. W samotności wcześniéj dojrzała, wcześniéj rozwinięta, prędko straciła Anna (*) wesołość, którą w jéj położeniu dziecię tylko mieć mogło. Pytała często otaczających o to, co się jéj w życiu własném niepojętém wydawało, ale jéj nie umieli czy nie chcieli wytłumaczyć.

(*) Księżna miała dwa imiona *Anny* i *Beaty*.

Jednego wieczora Anna siedziała zamyślona na wałach zamku pod wiśniowemi krzaki, cisza panowała do koła, słońce zachodziło jaskrawo, gdy ją obudził z drzémiącego dumania, co się obwija po głowie, podobne niewyraźnemu marzeniu, śpiew jakiś.—Głos był obcy nieznany, męzki, szedł z dołu, z nad rzeczki. — Stado dzikich kaczek zerwało się z zarośli i przeleciało po nad zamkiem; a ruska piosnka brzmiała a brzmiała.

Anna słuchała jéj z upodobaniem, bo to było nowém dla niéj. Głos męzki tak świéży, miły, mocny, piérwszy raz obijał się o jéj ucho. Oczyma szukała śpiewaka.—Na Bohu płynął łódką młody chłopak i podniosłszy oczy na zamek, zastanowił się nieco, w łódce leżała rusznica. Pływak był młody, przystojny, ubrany jak szlachta się nosiła, przez plecy miał torbę, w ręku wiosło, na głowie słomiany kapelusz.

Z dziecięcą ciekawością wyskoczyła Anna na wał, aby go bliżéj zobaczyć. On się ukłonił.

Zapewne nie wiedział do kogo mówił, bo poufale odezwał się do niéj.

— Podsłuchaliście mnie.

— Przepraszam, śpiewajcie.

— To bo ruska piosenka.

— Ja lubię ruskie piosnki.

— Najlepiéj bo śpiewać, kiedy nikt nie słucha.

— Dla czego?

— Człek myśląc że go słuchają, chciałby co najlepiéj, a nie potrafi nawet dobrze.

— Kto wy jesteście? skąd? piérwszy raz was tu widzę.

Nieznajomy chłopak, wskazał na gaj zdaleka ciemniejący na wzgórzach.

— To moja Słoboda; albo raczéj ojcowska, ale ojciec daleko—ja tu sam.—A wy tutejsi? spytał.

— Tutejsza, odpowiedziała rumieniąc się Anna.

Ubiór księżniczki wcale jéj stanu nieokazywał, skromna sukienka, mogła zarówno

pokrywać sługę zamkową, szlachciankę przy księżniczce będącą jak ją samą. Szlachcic może i nie wiedział kto mieszkał na zamku; pokłonił się uśmiechając, ruszył wiosłem i długo oglądając za siebie, odpłynął daléj.

Nazajutrz wieczorem, po rosie znowu brzmiała dumka młodego myśliwca, który płynął z chutoru swego zaróśla na kaczki i skierował pod zamek, zatrzymał się, spójrzał.

Anna stała na wale.

Przemówili do siebie słów kilka.

— Do zobaczenia, rzekł chłopak płynąc daléj.

Trzeciego dnia dłużéj niż poprzedzających, stała łódka na Bohu, dłużéj stała księżniczka oparta o palissadę wału; a odjeżdżając nie żegnał jéj chłopak, ona powiodła za nim okiem długo, długo, aż gdzieś w trzcinach zniknął. To patrzała na drżące trzciny, póki drżały, potém w mrok wieczorny i nareszcie powróciła do zamku. On nie wiedział kto ona była, miał ją za równą sobie, za córkę

rządzcy; za sługę—i nie pytał kto ona. Ona nawet nie myślałą, kto on taki.

Czternasto-letnia na ów czas księżniczka, starszą się jednak wydawała nad lata, wysmukła, blada, jasnowłosa, niebieskiego oka, smutnego wyrazu twarzy, łatwo mogła pociągnąć ku sobie młodego, co nie widział nic nad opalone i rumiane wiejskie dziewczęta. Smutek jéj twarzy nawet, zdobił ją niewymownie. — W samotności łatwo przywyknąć do piérwszego co ją przerwie i rozjaśni. I Anna przywykła do cowieczornych odwiedzin sąsiada, do piosnek jego, do rozmów z nim, do wesołych żartów, któremi ją rozrywał.— Nikt na nią nie patrzał, nikt tym schadzkom wieczornym nie przeszkadzał, miały one ponętę tajemnicy, bez niebezpieczeństwa żadnego.

Długo tak bardzo długo, znali się nie wiedząc o sobie wiele i bawili nie patrząc w przyszłość.—Nie mówili o sobie;—nie wiem jak nazwać to uczucie, które dwoje sierot (i tamten bowiem był prawie sierotą) łączyło.

Miłość jest gwałtowna, niepohamowana, przyjaźń nadto chłodna, nałóg zaobojętny. — Oni się kochali, ale nie miłością znajomą nam powszechnie, nie samą tylko przyjaźnią, nie nałogiem téż zimnym. Anna kochała go jak piérwszą w życiu rozrywkę, piérwszą może własność, jak się kocha tego co naprzód nas postrzegł, polubił i przywiązał do nas. — On kochał ją, jak piękne, cudowne zjawisko, o którego pochodzenie pytać nie śmiał, aby mu nie znikło. Piérwszego wieczora poufały prawie, następnych stał się nieśmiały, lękliwy, posłuszny skinieniu, wdzięczny za uśmiech. Więcéj nie żądał.

Nie wiem jak prędko dowiedział się, że nieznajoma dziewczynka, była księżniczką; ale potém już się on nie pokazał na łódce, na Bohu, nie było schadzek wieczornych.— Anna niespokojna, próżno wyglądała.

Po niejakim czasie, ujrzała go w zamku. Trwoga była od Tatar, sąsiedzi zbiegli się tu wszyscy, rad im był dowódzca: bo ręce

w takim razie drogie. Ale przybyły widocznie unikał księżniczki.

Tatarowie rozsypali się w okół i plądrowali, dłużéj nad zamiar pozostać musiał szlachcic na zamku. I znowu, znowu się zbliżyli, nowa prawie zawiązała znajomość, ale teraz ściślejsza, żywsza, straszniejsza na przyszłość. On, wdzięczen że go wybrała, przysięgał jéj całe życie poświęcić, ona ze łzami w oczach mówiła mu cicho.

— Opiekun żeni mię z synem swoim, z moim bratem, nie mogę być twoją.

— Tyś księżna, ty bogata—ja szlachcic— wiem że moją nie będziesz! Ale gdy pójdziesz za mąż, ja rzucę się na wojnę i dam zabić Tatarom. —

I płakali tak cicho, i mówili tak skrycie, że nikt łez nie widział, ni słów nie podsłuchał. Nie śniło się nikomu o tém.

Księżniczka dochodziła lat piętnastu, rosła, rozwijała się z tém uczuciem, które z nią razem rosło, powiększało się, bez nadziei na

przyszłość.—On był smutny, co raz dzikszy, co raz niecierpliwszy i za każdą razą, gdy do zamku przybywał, gdy się potajemnie widywali, zdawał się lękać bardziéj czegoś.

Nareszcie jednego ranku zaturkotało we wrotach, książę stryj z synem przyjechał, wioząc z sobą księdza. — Anna w dni kilka zaślubioną została. Z wychodzącym nad Dniestr za Tatarami jéj mężem, przyłączył się na wyprawę nieznajomy sąsiad z za Bohu. Męża przywieźli ranionego w oko strzałą; tamten niewrócił więcéj.

I nie było o nim słychać, i nieśmiała o niego pytać, i może go zapomniała?

Nie wiem. — Z tylą łzami, mogła spłynąć pamiątka wiosenna dni kilku weselszych.— Czegóż ludzie nie zapominają???

TATARSKA NIEWOLA.

IX.

Dziwne są czasem przeznaczenia ludzi. — Księżna Anna nie kochana w życiu przez nikogo (bo mąż ani miał czasu się do niéj przywiązać) przeszła długie lata smutne, żyjąc *może* jedném tylko przypomnieniem kilku chwil weselszych, przypomnieniem człowieka co ją kochał, co nie śmiąc się przybliżyć nawet do niéj, gdy ją ujrzał tyle wyższą od siebie, poszedł na zgubę umyślnie i zginął.

Lecz pamiętała ona o tém czy nie?—Któż wié co się w sercu dzieje. To pewna że nikomu nie mówiła; bo nikt nie wiedział o tajemnych schadzkach, o poznaniu się owém, o rozstaniu.—

Szlachcic porzucił Słobodę swoją, na ręce zaufanego domownika napisawszy do brata aby ją objąć przyjechał, a sam kilkunastu ludzi zebrawszy, przyłączył się jako ochotnik do gartski, która na czele mając Sołomereckiego, puściła się w pogoń za Tatarami, uprowadzającemi ogromny łup z Podola.

Pomimo przebiegłości napastników, którzy idąc na kraj obcy i wracając, doskonale umieli ślady za sobą zacierać, mnożąc je tak, aby niepodobna było rozeznać w którą stronę się udali; gdy obciężeni łupem, nową drogą dla większych zaborów wracali, pożarne łuny i dymy zdradziły Tatarów. Sołomerecki napróżno usiłując ich z téj strony Dniestru dognać, musiał się przeprawić niedaleko Chocima i puścić ku Budżakowi za Ordą.

Tatarzy, połączone Ordy Budżacka i Jedyssańska, zmykali ku Białogrodowi, trzymając brzegu rzeki i gęstych zarośli rozciągających nad Dniestrem. Codziennie pogoń była bliżéj, ale dopędzić nie mogła uciekających żwawo.

Nareszcie niedaleko Tyhina (Benderu) wieczorem dnia wczesnéj wiosny, ujrzano tylne straże Tatarów, ale nie pora była stoczyć z niémi bitwę.—Noc nadchodziła, dészcz lał, ziemia stepowa oślizła, koniom i ludziom więziła nogi i stąpić śmiało nie dawała. Tatarzy zdawali się znużeni i nie obracając ku pogoni, padli obozem z tamtéj strony miasteczka Tyhina z jeńcami razem. Jeńcy i łup jeszcze nie byli podzieleni; odzyskać ich można. Sołomerecki wysłał część swoich, aby puściwszy się stepem okrążyli nocą obozowisko i z tamtéj strony od Białogrodu razem z nim nazajutrz uderzyli. Sam chciał zająć półkolem Tatarów tak, aby ich do Dniestru przyprzeć. Ale na to siły mu nie wystarczały; więcéj jednak ufając odwadze

niż liczbie, od zamiaru nie odstąpił, rachując na to, że Tatarowie znużeni, że ogromne trzody, kupy jeńców, wozy łupu, nie dozwolą im myśleć nawet o walce. Ale się mylił. Orda uciekała dla tego tylko, aby garść pogoni za sobą wprowadzić na znany kraj, otoczyć i wyciąć. — Liczba Tatarów daleko była większą, niż się spodziewano. Znając jak oni wiele zwykle z sobą koni prowadzą, i jak przez to wojska ich ogromnemi przy małéj liczbie ludzi się wydają; Sołomerecki zbyt zmniejszył lik Ordy. Gdy tym czasem Budżackiéj, Białogrodzkiéj i Jedyssańskiéj z nad Kujalnika Ordy, kilka tysięcy było; a część główna która się przodem cofała, wypocząć czas miała. To co Sołomerecki zamierzał względem Tatar, oni myśleli, przygotowali dla niego; z tą różnicą, że z większą siłą, a odesłana garstka dla zajęcia tyłu obozowi tatarskiemu, do reszty osłabiła księcia.

Ludzie wysłani pławniami dniestrowemi dla przybliżenia się do obozu tatarskiego i wzięcia

o nich języka, nic groźnego nie zobaczyli. Obóz leżący za Tybinem w stronie Białogrodu na równinie stepowéj blisko rzeki, chociaż ogromny, nie zdał im się groźny. Rachowali na liczbę wielką luźnych koni i większą jeszcze stad i jeńców podolskich. Tak więc bitwa gotująca się na ranek, zdawała wcześnie wygraną. W obozie polskim cieszono się nią noc całą, gotując o świcie na tabor uderzyć. Ale krótka była radość. — Około północy dwóch czy trzech srodze rannych przybiegli oznajmując o zupełném zniszczeniu garstki wysłanéj, którą w gołym stepie otoczywszy, wyrznęli Tatarzy tak, że ledwie kilku wymknąć się potrafili. Tylko co ochłonięto z postrachu i naradzano się co czynić miano, wahając już, czy nie lepiéj by zbyt nierównéj walki unikając, cofać, gdy z wielkim krzykiem zewsząd ukazujący się Tatarzy na polskie obozowisko naskoczyli.

Dzień ledwie świtać poczynał, dészcz pruszył, konie i ludzie pomęczeni byli, a co

gorzéj wódz i naczelnicy wszyscy pomięszani świéżą stratą, która zupełnie szyki popsuła i z napastników zmieniła ich na broniących się już tylko napaści. Postrach stał się wielki; ale mimo to Tatarzy nie zaraz rady dali taborowi. Jakkolwiek Polacy z wieczora dopiéro wczoraj nadeszli, ani się oszańcować, ani miejsca wybrać mogli dobrego, szczęście im posłużyło, że się przyparli do szczątków starego trajanowego wału, który jako tako z jednéj strony ich zasłaniał. Z drugiéj były pławnie dniestrowe, któremi chyłkiem śród zalewów znajomych, szyli się Tatarzy. Jakkolwiek naprędce rozbity obozik, otoczony był jednak wedle zwyczaju wozami, połączonemi łańcuchy.—Tatarowie niezręczni, w kilka tysięcy często, taborowi podobnemu z kilkuset ludzi, rady dać nie umieli.

I tu tak się stało z początku.— Skoczywszy na strzał Orda, harcować poczęła do koła, ale przed silnym ogniem za wozami ukrytych żołnierzy, ustępować kilkakroć musiała. Sało-

merecki zagrzewał swoich, aby się trzymali, a widząc otoczonym zewsząd, myślał nad wieczór, porzuciwszy wozy, przerzynać nazad. Niektórzy radzili wpław Dniestr przebyć i uciekać. Ale ogromnie rozlane wody wiosenne, myśleć nawet o tém niedozwalały; a wrazie możności nie wiele by to posłużyło, gdy z drugiéj strony Jedyssańska Orda koczująca niedaleko, napaść ich zaraz w stepie mogła.

Zamknięci w obozie swoim, umacniając go ile możności, Polacy odstrzeliwali się Tatarom, którzy ze swojéj strony krążąc nieustannie w koło, zasypywali oblężonych strzałami i posuwali się co raz bliżéj, starając zapalić wozy taboru.

Położenie garstki téj, było rozpaczliwe; długo trzymać się tak, choćby najodważniejsi dla braku żywności nie mogli. Potrzeba było koniecznie przebojem pójść, na zginienie, lub uratować. — Ratunek wszakże wielce niepewny, bo ćma Tatar napływała. Zostawiwszy

obóz swój pod strażą słabszych i zwoławszy świeże posiłki, z niedaleko koczujących aułów, w bałkach nad dniestrowych; Orda ze wszystkich stron opasywała tabor. — Wkrótce nic widać nie było do koła, tylko tłumy dziczy z wrzaskiem, z zapalonemi oczyma hasającéj po stepie. — Od Dniestru nawet opasali ich Tątarzy, wielkim wiankiem ruchawym osaczając.

Na straszny ten widok garści ludzi wpadłych w zasadzkę, walczącéj z tłumem kilkakroć liczniejszym, wszedł dzień wiosenny jasny, wietrzny, pogodny. Zamknięci w obozie widzieli jak na dłoni Tatarów, nadbiegających od Tyhina co raz liczniéj, potrząsających tykami przygotowanemi, puszczających strzały i wywijających nożami.—Na srogich twarzach dziczy malowała się piekielna radość, mieli bowiem w ręku nieprzyjaciela, który poddać się prędzéj—późniéj musiał. Niektórzy przyskakiwali pod same wozy rzucając żagwie

zapalone i kłaki, ale po wczorajszéj słocie wilgoć, broniła od ostatniéj klęski pożaru.

W téj ostateczności, Polacy wznieśli się do bohatérskiéj odwagi. Widząc zgubę swoją postanowili nie poddać do ostatniego. Urządzono koléj do obrony wozów, ściśniono rzędy, wszyscy rzucili na kraje taboru.— Dopuszczając napastników do siebie jak najbliżéj, za każdym wystrzałem kładli trupem, całe seciny Tatarów. Z piekielnym wrzaskiem i zajadłością, odzierając swych trupów, wywlekając pobite konie z pod ognia, cisnęli się zapaśnicy nowi.

Tym czasem w polskim obozie, brzmiała jakby na urągowisko, stara pieśń, nie zapomniana jeszcze:

— *Bogarodzicy.*—

Osmaleni prochem, ranni od strzał, zawalani błotem, Polacy jedni nabijali rusznice, drudzy celowali i strzelali. — Nie było tam już wodzów, towarzyszów i ciurów, ale jedno wojsko, w którym biła jedna odwaga.

Wszyscy się zrównali rozpaczliwém męztwem w obliczu niebezpieczeństwa.

Sołomerecki stojąc na wozie, nieco daléj donośnym głosem kierował strzałami; niekiedy sam nabitą rusznicę zmierzał i wprawny strzelec, nie chybił nigdy; rzucał się między swoich, rozstawiał, leciał gasić ogień, kazał zataczać wozy ze środka obozu w drugi rząd do koła, biegał, zachęcał.

Im gęściéj uściełała się trupem ziemia na strzał od polskiego obozu, tém zajadlejsi stawali Tatarzy. Będąc pewni że tę garść zduszą w chwili i jednym postrachem do poddania znaglą, Białogrodzianie i Jedyssancy, pienili z gniewu na widok pobitych.

Gdy piérwsza chwila przerażenia przeszła, Polacy przeciwnie, z pogodném czołem i pieśnią pobożną, stanęli gotowi umierać. Potrzeba było widzieć, jak wesołe śmiechy odzywały się po obozie, gdy o krok świszczały nad głowami strzały tatarskie. Rannych wynoszono natychmiast do środka taboru pod

naprędce wczoraj uklejone z nad dniestrowych brzostów i dębczaków szałasy; ale po opatrzeniu ran i zatamowaniu krwi, silniejsi wyrywali się iść walczyć znowu. Pewni śmierci, którą przenosili nad sromotną i ciężką niewolę, ostatkiem sił chcieli walczyć, aby przynajmniéj nabić dziczy jak najwięcéj.— W tym powszechnym zapale, nie było jednego, coby się nie rozpalił widokiem męztwa wszystkich, obojętności na śmierć i niebezpieczeństwo.

Jednym z najzuchwalszych był szlachcic z nad Bohu. Klęcząc na wozie, otoczony bronią, z okiem krwią zabiegłém, z twarzą od prochu osmoloną, z rękoma zakrwawionemi, bo mu rusznica jedna przeładowana przy wystrzale się roztrzasnęła, brał broń nabijaną ciągle przez dwóch z tyłu stojących pachołków, mierzył i strzelał. — Czapka nasunięta na uszy pełna była tatarskich strzał uwięzłych w jéj futrze i wierzchu, suknia podarta także strzałami, kilka lekkich ran sączyło

krew, on nic nie czuł, na nic nie uważał.— Ręce mu się trzęsły, krew wrzała, policzki gorączkowym rumieńcem paliły. Głośniej od innych śpiewał Bogarodzicę.

Nagle zamieszanie jakieś w obozie uczuć się dało, strzały zrzadniały, ludzie szemrać poczynali, bojaźliwie za siebie oglądać.—Tatarzy ośmieleni przypadli. Nasz szlachcic skoczył z wozu zobaczyć, co się działo i ujrzał niedaleko Sołomereckiego rannego strzałą w oko.

Ten widok na chwilę zmięszał wszystkich, ale kilku starszych i odważniejszych poczęli wołać, zachęcać i znowu wszyscy rzucili się do wozów. Na czele ich był szlachcic.

— Mścijmy się za niego, zakrzyczał, do rusznic, bij psiego syna!

— Bij Tatara!

Cały dzień bezskutecznie przyskakiwali Tatarzy zgrzytając zębami do taboru napróżno. Ogień nie ustawał, padali gęsto i niczego dokazać nie mogli. Naówczas biorąc się na

sposób, przyciągnęli pod tabór pobranych w nocy jeńców i poucinawszy im głowy, poczęli niemi rzucać do obozu. Ale widok tego okrucieństwa, rozsrożył jeszcze Polaków. Nad wieczorem Tatarzy widać namyśliwszy się, przestali napaści i niedaleko, otaczając garstkę obsaczoną, pokładli spoczywać, tak jednak że ich rusznicowe strzały dosięgnąć nie mogły.

Sołomerecki i wielu innych rannych, obóz w nieporządku i zamięszaniu, znaczna część prochu i kul wyszafowana, znużenie, wszystko kazało myśleć prędko o czémś stanowczém, gdyż jutrzejszego dnia mogło i żywności i ładunków zabraknąć.

Wszyscy zgodzili się na wycieczkę i przebój. Tatarowie nigdy się tego po całodziennéj walce nie spodziewali. Polacy miarkując w któréj stronie oblegający byli najsłabsi i najmniéj liczni, rzucając wszystko co obciążyć mogło w ucieczce, osiodławszy wypoczęte konie, zmiérzchem zaśpiewali znowu, rozer-

wali tabor i w nagromadzone rzeczy swoje, które rzucić musieli, podłożywszy ogień, wypadli na śpiących prawie Tatar.

W jednéj chwili zgiełk i zamięszanie stało się okropne. Cała siła Ordy wstała do koni i zaparła drogę téj garści.—Polacy strzelając i tnąc przebijali się przez tłumy. — Czarna chmura zasłaniała zachodnią łunę, dészcz lać począł, ziemia ślizka usuwała się z pod kopyt koni. Jedni padali roztratowani w mgnieniu oka, drugich stryczkami z koni chwytali Tatarzy i zsadzali wlokąc i chłostając, inni pobici strzałami walili się ranni; reszta skupiona ciasno odstrzeliwając się, odcinając, parła naprzód. — Za niemi obóz płonął pożarem, a reszta tłuszczy poskoczywszy ratowała z płomieni co mogła jeszcze pochwycić, roznosząc szeroko po stepie rozżarzone głownie i szczątki pożogi.

Nie wielka garść Polaków potrafiła wymknąć się Tatarom. Ścigana przez nich do Chocima prawie, unosząc z sobą Sołomerec-

kiego, dostała przecie w Podole. Z wesołéj pogoni idącéj nadzieją odbicia jeńców, wróciła kupka rannych, zwalczona głodem, bojem, znużeniem, nie do poznania zmienionych i opłakujących straty niepowetowane najodważniejszych, największéj nadziei braci.

Nasz Nadbożanin, kilką strzałami ranny, wyszedł był z innemi z obozu, ale sam dobrowolnie zostawszy się odstrzeliwać na tyle pocztu, pochwycony został przez Tatara, który nań pętlę zarzucił i wpół uduszonego, pod nogi swojego konia pociągnął.

Nigdy prawie Tatar nie posuwał zemsty i zajadłości, do zabójstwa bezbronnego jeńca; a to dla ważnéj przyczyny. Jeniec była to majętność; czy okupiony przez swoich, czy przedany do Turcii stanowił zawsze pewną summę. Niewolnicy niewierni u Turków wysoko cenieni i szacowani jako niezmordowani pracownicy; z trudnością nawet za dość znaczne summy wykupieni być mogli: przysłowie bowiem przesądne muzułmanów powiadało,

że kto ma chrześcijanina niewolnikiem, ten nigdy głodu i niedostatku nie dozna. Téj to okoliczności winien był życie Nadbożanin nasz, któren wkrótce straciwszy z oczów swoich; skrępowany i przywiązany do siodła, za panem nowym do obozu za Tyhinem, wlec się musiał.

Straszliwy był widok jego.

W stepie równym i mogiłami tylko gdzie niegdzie zasianym, pokrytym zieloną wyskakującą po wiosennych dészczach trawą, zbitą kopyty Ordy, wyżłobionym kilką jarami; na lewo ku Dniestrowi, szeroko leżała Orda Białogrodzka i Jedyssańska powracająca z łupieży podolskiéj.—Dymiły ogniska, nad któremi pieczono końskie schaby, gotowano zaciérkę z prosianéj mąki i juchę z dorzniętych szkap, mąką zatartą.—Konie ogromnemi stadami pasły się do koła, ku Dniestrowi gęsto na zielone już pławnie zbiegając. Tam i ówdzie rozsypane były wozy, napełnione wszelkiego rodzaju łupem. Na nich widać

było suknie pańskie i chłopskie, bogate sprzęty, ubiory kapłańskie, połamane krzyże i kielichy kościelne, zbroje, futra, makaty, płótna.—

Stada wołów, owiec, koni, leżały znużone na ziemi szukając strawy i wody, nie mając siły się podnieść. — Mnóstwo ich pozdychało i z zdętemi brzuchy, wyciągnionemi skościałemi nogi, odartą skórą, czerwieniało gołém ścierwem. Dalej leżeli, stali, siedzieli powiązane w tył mając ręce, nieszczęśliwi niewolnicy, wszelkiego stanu, płci i wieku. Starcy, dzieci drobne (najmilsza zdobycz Tatarów, bo ich wychowywali w swéj wierze i obyczajach), kobiéty. Niektórzy nadzy prawie, inni popaleni straszliwie, inni ranni, inni obłąkani nieszczęściem i bezprzytomni.

Był to obraz straszliwy, wtrząsający. Do koła ta dzicz upojona zdobyczą, wesoła, rozbezstwiona, krwawa, we środku jeńcy płaczący i w milczeniu oczekujący najstraszniejszéj chwili, podziału łupów. Stary z wejrze-

niem osłupiałém, dziewczęta z zapuchłemi od płaczu oczyma, matki rozpaczające, niemowlęta pojone mlékiem kobylém i leżące same na ziemi, po kilkadziesiąt razem; dzieci śmiejące się i skaczące, bo nierozumiejące jeszcze co się z niemi działo.—Nad każdą kupą Tatarzyn z biczem na straży, często kobiéta nawet wpół naga, baranim kożuchem okryta, z roztwartemi ustami i krwawą zrenicą.

Nie jedna niewolnica zapominając o sobie, szukała oczyma pochwyconéj dzieciny, wyrwanéj córki, nie jeden ojciec płakał za synem, który zmarł w drodze nie mogąc zbiedz za koniem Tatara, padł gdzieś w stepie i został na wieki. Mężowie rozdzieleni od żon, napróżno starający się zbliżyć do nich, dzieci wyciągające zdala ręce do matek. — Wśród tego obrazu, siwo-włosy stary ksiądz, z krzyżem z dwóch kijków białych związanym na piersi, w łachmanie na zbitych i sinych plecach, klęczący i pocieszający swoich, sprawiedliwością Bożą, nagrodami wiecznemi.—

Głos jego głuszą krzyki Tatarów, piski dzieci, ryki bydła i gwar obozu.

Daléj, to dwa trupy blade odarte do naga, na których już siedli kruki i skubią oczy otwarte; jasne włosy dziewczyny rozwinęły się na stepowéj czarnéj ziemi, siwy włos rozsunął się po skroni. — Nad niemi stara kobiéta siedzi związana i płacze, to jéj mąż, to córka.

Ale oto chwila stanowcza, w któréj obraz okropny, jeszcze się staje straszniejszym jeśli być może—chwila podziału jeńców. Murza dowodzący wyprawie, usiadł przed rozbitym z pilśni namiotem, wszyscy znoszą, spędzają, zwożą, co kto ma. Ludzie, bydło, rzeczy ściskają się w jedną kupę.—Wydzielają część dowódzcy, części pojedyńczych ludzi, Orda się potém rozsypuje w step znowu. Złoto i srébro i suknie i konie i bydło i ludzie, zarówno niemiłosiernie dzieli milczący starzec dowódzca wyprawy. Temu ojciec, syn dru-

giemu, tu matka a tam córka, tam mąż, a tam żona.

Każdy pędzi własność swoją przed sobą i napróżno jedni ku drugim wyciągają ręce, wołają, płaczą; — padają pod razami śmiejących się Tatar. — A matka patrzeć musi na hańbę córki dziecięcia, mąż na zesromocenie żony, ojciec na katowanie syna. — Krzyki bestjalskiéj radości, wołania o pomoc która przyjść nie może, jęki gwałconych, ryczenie chłostanych, mieszają się ze śpiewem Tatarów i tętętem koni. Ci modlą się, tamci mdleją i konają ze strachu, inni poszaleli z rozpaczy. Dzieci na wozach bawią się sznurkami co je krępują i uśmiechają do siebie.— Ksiądz stary głośno, wyraźnie odmawia modlitwę. Dwa razy ręka Tatara zatuliła mu usta uderzeniem krwawém, a kapłan nie przestał.

Murza powoli podjął łuk z ziemi, kazał się ludziom odstąpić i patrząc na krzyż, który starzec tulił do piersi, wymierzył do serca.—

Dobroczyńca! Strzałą jedną położył go trupem.

Szczęśliwy był Nadbożanin, że nie miał nikogo swego, nikogo nawet znajomego w tym tłumie.— Schwycony, skrępowany, pociągniony, poszedł obojętnie na katownią, sądząc że ją zniesie odważnie. I zniósł by był własne cierpienie. Ale okropny widok, ale głosy wołające znanym językiem o pomoc do Boga, głosy kobiét bezsilnych wyrywających się napróżno zwierzęcym napaściom dziczy, oszaliły go prawie. Padł na ziemię zakrywając oczy, zatulając uszy, wzywając śmierci.— Uczuł się chwyconym za powróz, który go krępował; stawiony przeciw Murzy, odpędzony na bok, nie postrzegł nawet komu się dostał w niewolę.

Nad wieczór dnia następnego, po dopełnionym podziale i najstraszniejszych okrucieństwach, dzicz ruszać się poczęła i rozbijać. Biczem z miejsca ruszony, Nadbożanin powstał i przytroczony do siodła, poszedł za {nowym

panem. Z nim razem była nie młoda niewiasta, dziecko niemowle i starzec bezsilny. Tatarzyn, który prowadził ich; doskonale rozporządził wszystkiemi: kilka sztuk bydła pędził przed sobą, dwa konie luźne szły obok niego, na jednym siedziała kobiéta, na drugim starzec i dziecko; wszystkie trzy szkapy obwieszone były sukniami, skórami i różnym sprzętem. Ogromny łup zabrany w Podolu i Rusi katolickiéj dozwolił każdemu z najezdników, dobrą uprowadzić zdobycz.—Nadbożanin postrzegł w torbie wystający błyszczącym rogiem srébrny lichtarz z jednéj strony konia, z drugiéj żelazną patelnię. Starzec płakał, kobiéta osłupiałém okiem patrzała, dziecko drzémało, Tatarzyn w milczeniu popędzał bydło. — Orda rozbiła się była i Białogrodzcy w swoją stronę, Jedyssańcy w swoją się udawali; Nadbożanin dostał się jednemu z Jedyssańców koczujących w bałkach nad Kujalnikiem za Dniestrem. — Mimowolnie spójrzał w twarz swemu panu. — Był to stary już

człowiek srogiéj twarzy, wklęsłych małych oczu, krótkich włosów czarnych, żółtéj cery, odstawionych uszu. Na nagiéj jego piersi kawałek baraniéj skóry szerścią na wierzch obrócony, zszyty z przodu, marszczył się i garbił szeroko. Ręce z pod niego nagie, naga szyja wystawała, część nóg także obnażonych wisiała na sakwach któremi koń był obciążony; łuk miał i kołczan na plecach, nóż za pasem, kilka torb i dużo sznurów i łyk u łęku. Nie było wyrazu nasyconéj radości jaka błyszczała w oczach innych Tatarów, na twarzy dzikiéj, chmurnéj, milczącego Jedyssańca. Zdawał się głęboko myśleć i machinalnie tylko dopełniać nadzoru nad zaborem swoim. Kilka razy zagadali do niego bracia mijając go, ale nic im nie odpowiedział. Zresztą uważał Nadbożanin, że drudzy byli dlań prawie z uszanowaniem. — Jedyssaniec zboczywszy nad Dniestr, posuwał się drogą po nad pławniami, po stromych górach, szukając zda się brodu dla przebycia rzeki. Ale wio-

senne wody wezbrane, szumiące, od koryta rzeki w odnogach długich po dolinie rozlane, zdawały się zupełnie nie do przebycia. Kilka razy zastanowił się Tatarzyn i pojechał daléj. Wjechali w laski skompij, brzostów, dębów i tarniny, środkiem których wydarte wodami jary; szare skały i żółte kamienie piaskowe z wnętrzności swych pokazywały. Przebywali strumienie, małe łąki, gąszcze i nareszcie stali spocząć na wzgórzu z którego daleki widok rozpościerał się na Dniestr, zarośla i kraj z drugiéj strony rzeki. Tatarzyn w milczeniu zsiadł z konia, pospędzał biczem jeńców, puścił bydło w paszę, dobył zaraz pieczeni końskiéj z pod siodła i począł jeść.—Niewolnicy podzielili się kawałkiem chleba, któren wynieśli z obozu, chleba na żywność dla nich zabranego umyślnie, stwardniałego, spleśniałego, czarnego i zbrukanego błotem i krwią.

Inni krążący w téj stronie Jedyssańcy, poczęli się zbierać także na popas i porozpalali ognie, ale opodal od piérwszego. Tamci

ustawiwszy podróżne kociołki gotowali z jaglanéj mąki i séra kobylego ulubiony swój pokarm. Niewolnicy na boku cicho, płacząc rozmawiali z sobą. Nieznajomi, w téj chwili byli wszyscy braćmi i nikt z nich nie spytał drugiego—kto był? Każdy swoją nędzę opowiadał, mówił jak go pochwycono, lub opisywał co za katownie wycierpiał.

Na popasie od drugich niewolników dowiedział się Nadbożanin, że Tatarzyn któremu przypadł w niewolą, nie był Tatarem ale Tatarką. Jeden z jeńców rozumiejący nieco języka dziczy, słyszał rozmawiających o niéj Jedyssańców zowiących ją straszliwą czarownicą. Ciż sami opowiadali, że kobiéta wyszła na wyprawę z mężem i synem, straciła obu w oblężeniu obozu polskiego i mówili że pewnie swoich więźniów wymyślnie przez zemstę pozabija. Żałowali oni jeńców jako straconego towaru, który by się mógł dobrze sprzedać w Białogrodzie, do Stambułu lub Adrijanopola.

Dowiedziawszy się Nadbożanin, że go prowadzi kobiéta, czego poznać było niepodobna, zadrzał ze wstydu i postanowił wyrwać się z jéj rąk. Tatarzy popasający pozostali, kobiéta smagnęła biczem swoich niewolników i popędziła ich daléj. Złość ją brała, że Dniestru przebyć nie mogła, a z gniewu biła Nadbożanina i co raz to w oczy plwała starcowi, to schyliwszy się z konia do ziemi, zagarnąwszy garść błota, rzucała nią na spokojnego i niewzruszonego niewolnika. Niekiedy zgrzytnąwszy czarnemi zęby, pośpieszała bijąc konie, odwracając się coraz i poglądając gniewliwie na Dniestr. — Gdy się dobrze od innych Tatar oddalili, Nadbożanin zaczął mówić do starca.

— Uciekajmy, to kobiéta!

— Niechcę? gdziebym uciekł? odpowiedział starzec.

Tatarka zabroniła im mówić do siebie chłoszcząc obu. Szlachcic, począł powoli więzy krępujące go z tyłu, rozrywać; mrok padał.

Rozdłubawszy węzeł i utrzymując łyko dla niepoznaki w rękach, jeniec, począł zwalniać kroku, jak gdyby ze znużenia, zostawać się, przypadać i jęczeć. Tatarka kłuła go nożem bez litości; ale w chwili gdy zajadle uderzała go nim, Nadbożanin pochwycił ją za rękę, wyrwał żelazo i skoczywszy z tyłu na konia, porwał ją za gardło.

Wrzasnęła straszliwie; — bojąc się aby jéj krzyku do koła snujący się nie posłyszeli Tatarowie; szlachcic ścisnął za szyję tak, że ducha wyzionęła, a zrzuciwszy trupa, puścił się nazad.

Ale konie przywykłe do Tatarki i czujące dom w przeciwnéj stronie stepu, nie łatwo dały się zwrócić. Kobiéta i starzec łamali ręce i płakali.

— Nieszczęście! nieszczęście, wołali, zgubił nas, muszą złapać! złapią i będą karać jak zbójców, będą myśleć żeśmy mu pomogli. I stary drżał bezsilnie z przestrachu.

Nadbożanin nic mu nie odpowiedział, sam po chwili namysłu spuścił się z konia, porwał sakwy z mąką z niego i uskoczył w zarośla. Ledwie miał czas przypaść w gęstwinie, gdy Tatarowie nadbiegli i pochwytali jeńców. Ale zamiast mścić się, cieszyli ze śmierci kobiéty, która ich część powiększała. — Jeden wziął starca i dziecko, drugi kobiétę, worki rozerznęli na dwoje; a niewiedząc czy miała więcéj jeńców i z jakiéj przyczyny nagle skonała kobiéta, pojechali daléj ku Białogrodowi, szukając albo brodu, albo łodzi.

Szlachcic mniemał się ocalonym, postanowił iść powoli brzegiem rzeki, zaroślami, wodą, aż na Wołoszczyznę, miarkując że mu mąka w sakwach będąca, użyta oszczędnie, wystarczyć powinna. Całą piérwszą noc drapał się gęszczami i trzciną nazad.—Nadedniem głosy Tatarów zmusiły go przypaść w wodzie prawie. Ale rany niedawne, głód, znużenie, zimno przejmujące od wody, poczynały działać.

Szlachcic uczuł się słabym; zawrót głowy, szum w uszach, drganie kolan, przeraziły go, bojąc się aby gorzéj nie zachorował siedząc w miejscu i poddając się osłabieniu, zwlókł się i ciągnął daléj. Coraz gorzéj a gorzéj się czując, ku południowi rozciągnął się na pagórku, zamknął oczy, oczekiwał śmierci. Gorączka silna odjęła mu zupełnie przytomność, dziwne mary snuły się po drgającym mozgu. Widział się na łódce na Bohu, a na wale zamkowym uśmiéchającą mu Annę, podającą rękę, wzywającą ku sobie, widział siebie w swéj Słobodzie odludnéj, na progu domostwa, gdy stada koni, owiec, bydła, wracają wiosennym wieczorem z paszy do domu, rozmawiającego z czeladką.

— To był sen tylko panie! mówił mu stary pasiecznik, wasza niewola, wasze nieszczęścia, to był sen. — Łódka się na Bohu kołysze, płyńcie.

A młody chłopiec skakał znów w łódkę

i płynął pod zameczek. I znowu witała go tam Anna podając rękę.

Sny ciemne i sny jasne następowały jedne po drugich, potém zamiérzchło zupełnie, znikło wszystko.—

Nadbożanin obudził się silnie miotany i targany, otworzył oczy, kilku Tatarów stali nad nim i wodą w twarz mu rzucając, wstrząsając nim usiłowali ocucić. Osłabionego i trawionego gorączką wsadzili na wóz wiozący łup, przywiązali powrozem do stérczących boków ogromnéj *arby* parą wołów ciągnionéj i pojechali ku Białogrodowi powoli.

Nazujutrz oczom biédnego niewolnika zabłysnął poczynający się w lewo Liman dniestrowy.—Na prawo był step, step na wszystkie strony dziki, nagi, najeżony tylko kurhanami, nasiany kośćmi bydła i ludzi wpół oszarpanemi z mięsa przez dzikie ptastwo i wilków. Zdala nad Limanem ogromnym jak morze, ukazały się szare mury Białego grodu, ściany zamku, minaret nad nim stérczący,

księżyc meczetu; drzewa gdzie niegdzie osłaniające rozsypane do koła, liche domki lepione z kamienia, pokryte trzciną.

Wieczór był pogodny, jasny, wiosenny, świat się budził do życia, powiew łagodnego wiatru zwiastował cieplejszą porę; step zieleniał, kwitnął. W milczeniu posuwała się arba ku miastu, Tatarzy jechali na zmęczonych koniach wolno i poglądali zamyślono to na Liman i w stronę morza i Krymu, to na wieże starego zamczyska.—Białogród stawał się coraz wyraźniejszy, widać było baszty piętrzące się, okolny mur najeżony zębami, skałę czarną stanowiącą podstawę ogromnéj budowy i ulice miasta poplątane, wązkie, ostawione domostwy podobnemi do kup gruzów, przysypanych kupą słomy. Gdzie niegdzie na ciemném niebie wschodo-południa, wił się czarny dym tatarskich ognisk. Muezzin wołał z minaretu na modlitwę.

Przebywszy część miasta rozsypaną na płaskiéj przestrzeni i pochyłości stepu ku

Limanowi schodzącemu, złożoną z wązkich przesmyków, kamiennemi murki nad którą tylko dachy i gdzie niegdzie zaparte wrota wystawały, wyjechali na plac przed zamkiem obszerny, pusty. Tu rozmówiwszy się z kilku innemi Tatarowie, jedni zawrócili ku Bugasowi, tak zwanéj od ujść dniestrowych części miasta, drudzy z jeńcem skierowali do zamku.

Szaro-białawe mury wrot, stanęły na oczach schorzałemu więźniowi, który tracąc powoli odzyskaną przytomność, począł sobie wyobrażać, że się znajduje na Bohu pod zameczkiem księżnéj Anny i uśmiéchnął się jakby do niéj. Tym czasem przebywszy sklepiony wchód ziemny, most, minąwszy na prawo łaźnię Baszów Akkermanu, arba wioząca szlachcica, wtoczyła się w piérwszy podwórzec i zastanowiła prawie u samych wrót, na przeciw minaretu.

Z wierzchołka galerii Muezzin krzyczał piskliwie wiersze Alkoranu.—Niewolnik usłyszał

w jego krzyku głos Anny i zupełnie obłąkany, odpowiedział nań pieśnią tęskną, którą zanucił leżąc na wozie.

Silne uderzenie w głowę Tatara, który wziął to za naigrawanie niewiernego, pozbawiło znów nieszczęśliwego Nadbożanina przytomności.

KONIEC TOMU TRZECIEGO.

w jego krzyku głos Anny i zupełnie obłąkany, odpowiedział nań pieśnią tęskną, którą zanucił leżąc na wozie.

Silne uderzenie w głowę Talara, który wziął to za naigrawanie niewiernego, pozbawiło znów nieszczęśliwego Nadbożanina przytomności.

KONIEC TOMU TRZECIEGO.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE TRZECIM

Stronnica